ŚWIATOWID

Nr. 16 505 ROK XI
14 KWIETNIA 1934 R.
NUMER ZAWIERA 24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2·20.



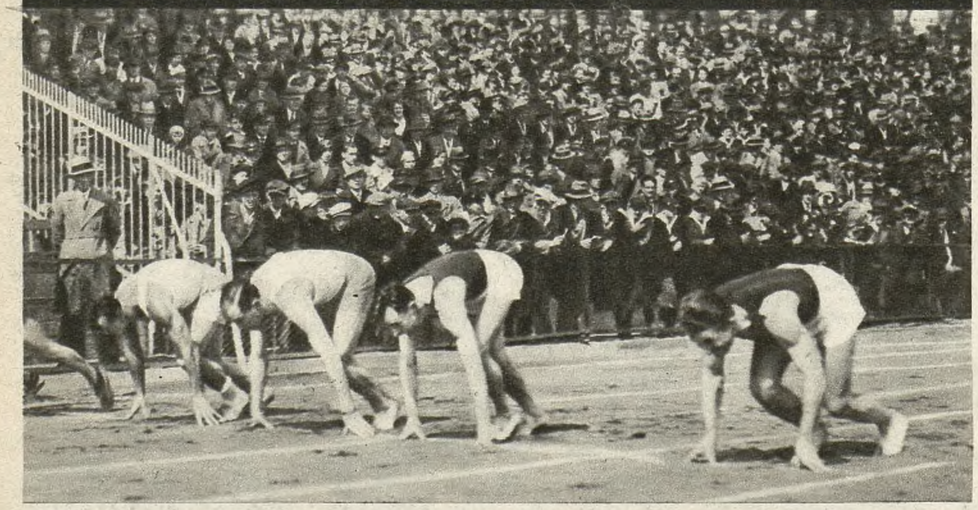
WIELKIE DNI W BAZYLICE ŚW. PIOTRA

KAWALERZYŚCI MARSZAŁKOWI.



Dnia 8 bm. delegacja kawalerji polskiej w osobach gen. Wieniawy-Długoszowskiego, gen. Zahorskiego, płk. Karcza, płk. Piaseckiego i ppor. Smolika z 1-go pułku szwoleżerów wręczyła p. Marszałkowi Piłsudskiemu buzdygan od kawalerji polskiej na pamiątkę Święta Kawalerji w Krakowie, urządzonego z okazji 250-lecia Odsieczy Wiedeńskiej. Wręczenia dokonał ppor. Smolik, prymus ostatniego kursu C. W. Kawalerji.

NIEMIECCY SPORTOWCY W POZNANIU.



W ubiegłą niedzielę odbyły się w Poznaniu pierwsze zawody lekkoatletyczne z udziałem niemieckich zawodników Sieverta i Pfluga. — Na zdjęciu start do biegu na 60 m. Pierwszy od prawej Pflug, obok Sikorski (Polonja — Warszawa), Czysz (Stadjon — Król. Huta) i Radwański (Akad. Zw. Sport. — Poznań).

U NOWEGO WŁODARZA WARSZAWY.

Uzyskać wywiad od komisarycznego prezydenta m. Warszawy p. Kościałkowskiego w chwili obecnej, równa się uzyskaniu rozmowy z chirurgiem podczas dokonywania ciężkiej operacji. Ale ryzykuję i zaczynam od teatrów: co będzie z teatrami?

Prezydent Kościałkowski spojrzał w okno, przez które widać, niby wieczne „memento mori" gmach teatralny i powiedział:

— To się załatwi.

Odpowiedź była krótka, a ton jej dawał do zrozumienia, iż sprawa jest więcej przykra, niż groźna, na jaką z początku wyglądała.

— Jakie jest wyjście?

— O ile dyr. Krzywoszewski na wezwanie rejentalne nie cofnie swej decyzji, teatry obejmie do końca sezonu zrzeszenie artystów.

— Czy wytrzymają do końca sezonu z resztkami subwencji, przyznanej dyr. Krzywoszewskiemu?

— Będę szukał drogi, aby im pomóc.

Po takiem przełamaniu pierwszych lodów wywiadu, zadałem prezydentowi Kościałkowskiemu szereg zgóry przygotowanych pytań:

Budżet?

— Preliminarz budżetu, który zostanie przedstawiony władzom nadzorczym do zatwierdzenia, będzie całkowicie zrównoważony na drodze wprowadzenia dużych oszczędności.

Pracownicy miejscy?

— Po przeprowadzeniu szczegółowych badań co do organizacji biur i przedsiębiorstw, dokonana zostanie redukcja zbędnych stanowisk. W chwili obecnej Warszawa posiada bezmała 20.000 pracowników miejskich.

Administracja?

— Prace nad uproszczeniem administracji są w pełnym toku. Wkrótce przystąpi się do niego w drodze komasacji poszczególnych działów pracy, ustalenia faktycznej odpowiedzialności za wykonywaną pracę, oraz spowodowania sprężystego wykonywania poleceń władz centralnych miasta, jak również załatwiania spraw interesantów.

Przedsiębiorstwa miejskie?

— Szczególną troską jest zracjonalizowanie przedsiębiorstw. Materja wyjątkowo delikatna i wymagająca głębokiego przestudjowania.

— Czy Pan Prezydent może mi coś powiedzieć o planach rozbudowy Warszawy?

— Mogę poruszyć tutaj sprawę, która z rozbudową Warszawy ściśle się wiąże. Uważam za konieczne, chociażby przy największym wysiłku, spowodować odbycie się wystawy światowej w 1943 r. Jeślibyśmy tego nie uczynili, to, ze względu na kolejkę między państwami, mogłaby się ona odbyć w Warszawie dopiero za 52 lata. Oceniam należycie korzyści, które winna dać wystawa całemu państwu, a Warszawie w szczególności. Mam przemyślane projekty, zmieniające jednak ustalone już tereny, na których wystawa miałaby być urządzona. Jeśli mi się uda to zrealizować, zmieni to charakter Warszawy na długie dziesiątki lat i wydobędzie z niej jej prawdziwe piękno. Do prac tych przystąpię niebawem.

Ostatnie zdania prezydent Kościałkowski wypowiedział jakby podniesionym głosem, z jakimś młodzieńczym zapałem. Widocznie sprawy piękna i monumentalności stolicy leży najbliżej jego sercu z pośród zadań, które przypadły mu do zrealizowania.

J. B.

✤ WŁADYSŁAW SKOCZYLAS

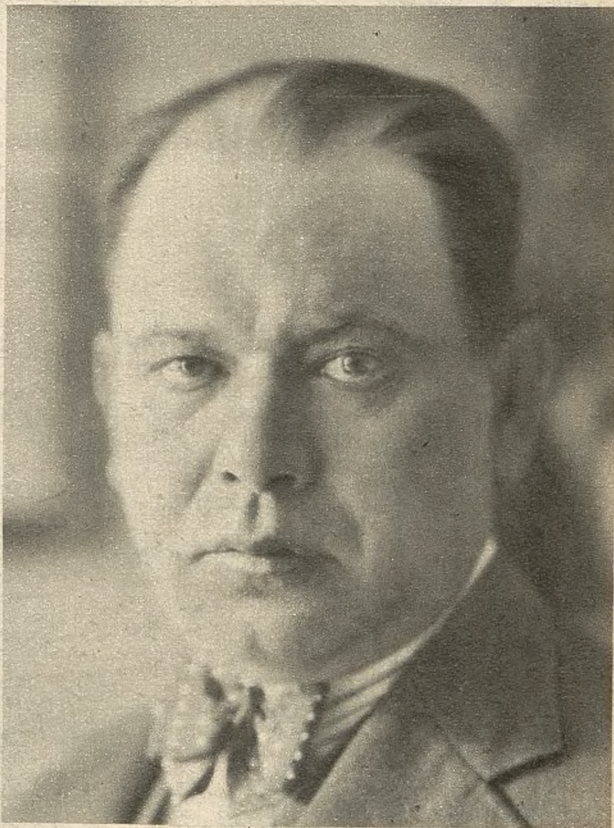
Dnia 8-go kwietnia b. r. zmarł w Warszawie po ciężkiej chorobie Władysław Skoczylas, znakomity grafik i malarz. Władysław Skoczylas był Małopolaninem. Urodził się bowiem w Wieliczce w 1883 r. a studja malarskie odbywał w Krakowie w Akademji Sztuk Pięknych. Po ukończeniu których wyjeżdża na dłuższy okres czasu zagranicę i studjuje w Paryżu, Wiedniu i w Lipsku. Nie poszedł jednak śladami nowatorów sztuki zachodniej, ale powróciwszy do kraju szuka źródeł dla swojej pracy artystycznej w polskiej twórczości ludowej. Z szczególnem zamiłowaniem odbywa odkrywczą podróż po Podhalu i tam jeden z pierwszych odnajduje piękne malarstwo ludowe na szkle i ludowy drzeworyt, który staje się dla niego punktem wyjścia. Dominującą bowiem częścią twórczości Skoczylasa jest drzeworyt, którego techniczną stronę doprowadził do mistrzostwa. Jako znawca sztuki i przemysłu ludowego został mianowany w roku 1914 profesorem przemysłu drzewnego w Zakopanem. Stamtąd powołuje go Warszawa na stanowisko docenta grafiki przy Politechnice Warszawskiej. Po przybyciu do Warszawy nie poprzestaje Skoczylas na swojej pracy artystycznej, ale zajmuje się organizowaniem związków artystycznych i placówek szerzenia kultury. Ta jego praca pełna koleżaństwa i niejednokrotnie poświęcenia zjednała mu niezwykłą popularność i cześć. Dzięki swojemu talentowi organizacyjnemu osiągnął Skoczylas wysokie stanowisko dyrektora Departamentu Sztuki w Ministerstwie W. R. i O. P. I oto następuje najwydatniejszy okres jego życia niestety w ostatnich już latach. Należy wraz z Jastrzębowskim do inicjatorów i twórców Instytutu Propagandy Sztuki, jak również Zrzeszenia artystycznego „Ład". Mimo, że praca społeczna zajmuje mu sporo czasu, nie zaniedbuje pracy malarza i grafika. Jego ostatnie dzieła wykazują niezwykłą żywotność w poszukiwaniu nowych form. Oprócz grafiki maluje także dekoracyjne stylizowane akwarele, najczęściej również o tematach ludowych. Prócz bliskiego mu sercem Podhala umiłowanem miejscem pobytu Skoczylasa jest Kazimierz nad Wisłą. Tam też maluje te niezwykle interesujące motywy architektoniczne, stare domy i wstęgę Wisły.

Dzieła Skoczylasa zyskały mu zasłużoną sławę nietylko w Polsce, ale także zagranicą, dokąd niejednokrotnie wyjeżdżał celem urządzania wystaw sztuki polskiej. Jego praca na polu propagandy polskości zagranicą była niezwykle owocna. Skoczylas ma również wielkie zasługi jako pedagog. Piastował od szeregu lat godność profesora w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, przekazując swoje doświadczenia artystyczne młodszemu pokoleniu.

Sztuka polska straciła nietylko znakomitego artystę, ale i obywatela i działacza.



Wł. Skoczylas — „Łucznik".



Śp. Władysław Skoczylas.



Wł. Skoczylas — „Stary gazda".



Wł. Skoczylas — „Motyw z Krzemieńca".



GÓRSKI SMOK.

W tych dniach odbyła się próbna jazda nowego parowozu, który będzie kursował na linji Kraków—Zakopane. Zastąpi on górskie parowozy z czasów austrjackich. Próba wypadła bardzo dobrze, maszyna brała doskonale wzniesienia i wiraże i w trzy godziny i 48 minut przebyła całą przestrzeń. Na zdjęciu nowy parowóz górski na stacji w Płaszowie.

ŚPIJ KOLEGO W CIEMNYM GROBIE!



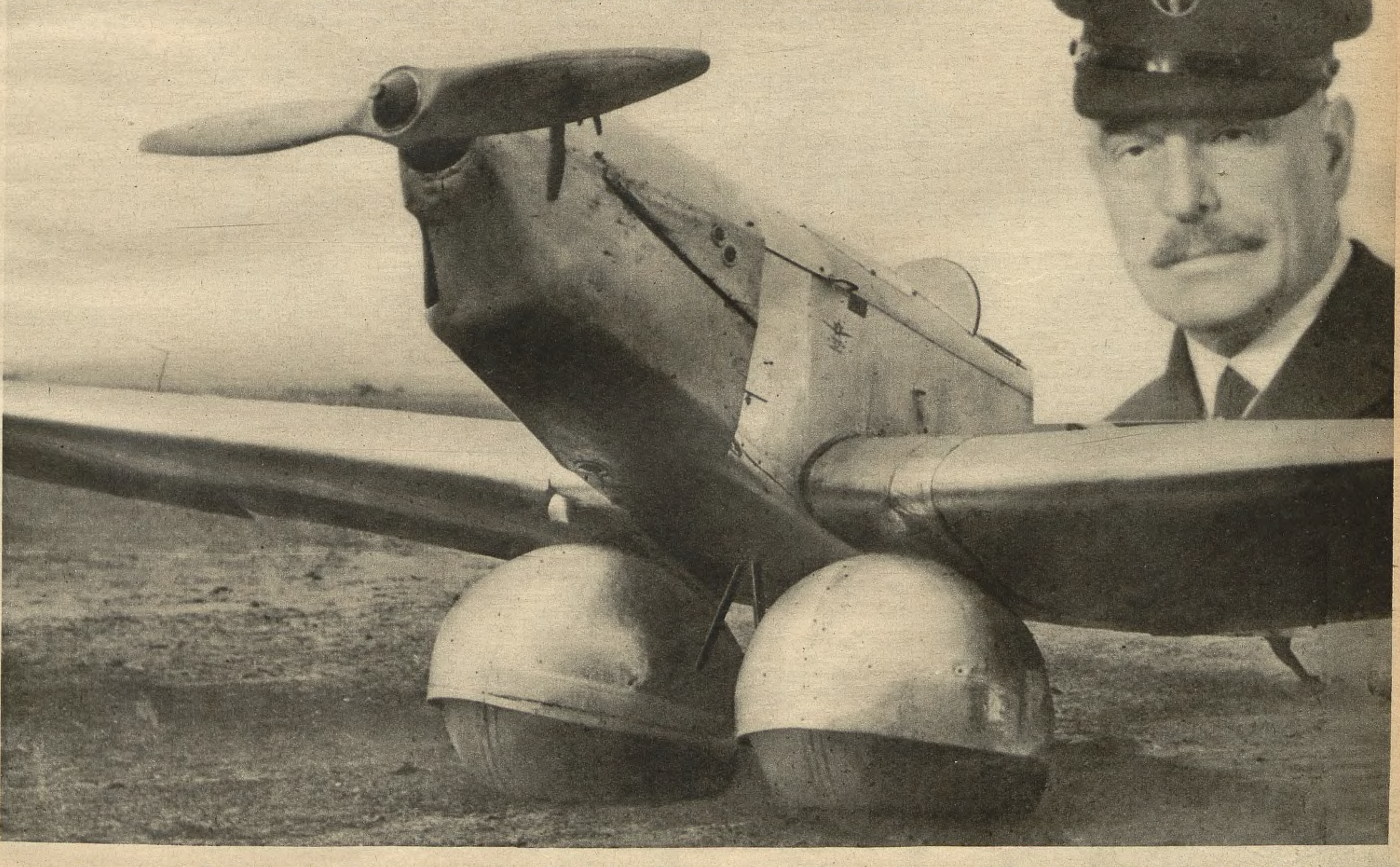
W Warszawie zmarł ś. p. Adam Skwarczyński, kierownik Wydziału Prasowego w kancelarji cywilnej p. Prezydenta Rzplitej. Brał on przed wojną czynny udział w organizowaniu Związku Strzeleckiego, w 1914 r. staje do służby w pierwszej Brygadzie. W 1917 roku zostaje przez okupantów aresztowany za robotę niepodległościową. Otaczał go powszechny szacunek towarzyszów broni, którzy tłumnie zebrali się na jego pogrzebie, z premjerem Jędrzejewiczem na czele, który pożegnał go nad otwartą mogiłą. Na zdjęciu wynoszenie trumny ze zwłokami śp. A. Skwarczyńskiego z kościoła garnizonowego w Warszawie.

ZAROBKI I PAZURY.



W Nowym Jorku wybuchł strajk szoferów taksówek, którzy nie zgodzili się na zaproponowaną im przez chlebodawców obniżkę zarobków. Interwencja burmistrza nie zdała się na nic, ponieważ kierownictwo strajku objęły żywioły komunistyczne, które szoferów popchnęły do aktu terorów, jak napadania na konkurencyjne auta i na pasażerów, chcących korzystać z prywatnych wozów. Policja musiała staczać wręcz walki z szoferami, którzy bronili się przy pomocy pięści i pazurów. Moment takiego właśnie mocowania się na śmierć i życie policjanta z szoferem przedstawia nasze zdjęcie.

SKRZYDŁA NA KULACH.



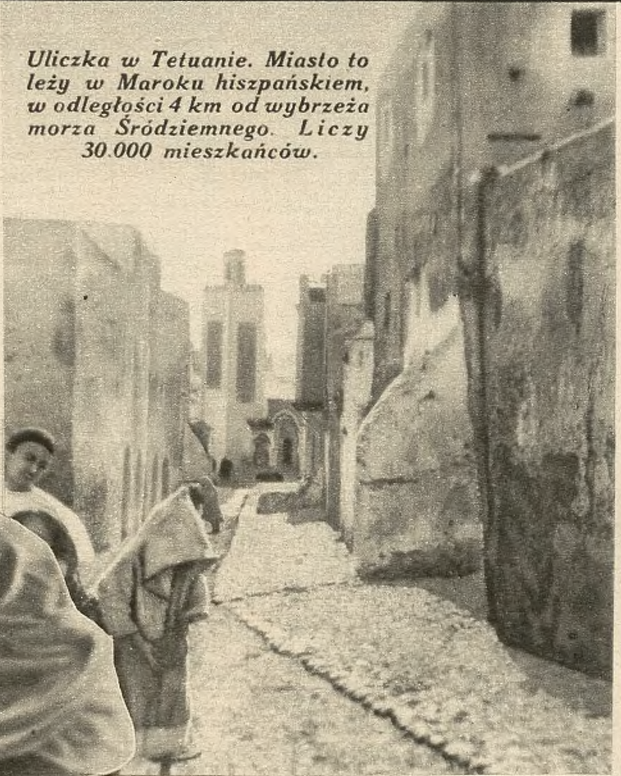
Znany konstruktor Borys von Loutzkoy z Berlina sporządził nowy model samolotu, który po ziemi porusza się nie na kołach, ale na miękkich gumowych kulach. Próby lądowania z tym nowym aparatem wypadły doskonale, nawet na nierównym terenie. Bardzo być może, że w niedługim czasie kule zastąpią zupełnie dawne koła. Na zdjęciu aparat von Loutzkoy'a, na prawo u góry jego portret.

ŻYWA PIŁA I ŚPIEW

WRAŻENIA Z TETUANU.

Pasażerowie licznych okrętów, przepływających przez cieśninę Gibraltarską, spoglądają z zaciekawieniem na oślepiającą w słońcu biel domów, lub migocące światła nocne Ceuty, na wybrzeży afrykańskiem. Nie przeczuwają oni jednak, że o dwie godziny zaledwie drogi stąd znajduje się żywa bajka z 1001 nocy, zabalsamowany kawałek X-go stulecia. Jest tam miasto, otoczone murem, w dzień dostępne z czterech stron świata przez cztery bramy, w nocy zamknięte na cztery spusty, miasto, w którem do dziś dnia nie udało się odzwyczaić tubylców od zabijania cudzoziemców „bezczeszczących“ niebacznie progi ich świątyń, prastare miasto maurytańskie — Tetuan.

Linja kolejki Ceuta — Tetuan przerzyna na



Uliczka w Tetuanie. Miasto to leży w Maroku hiszpańskiem, w odległości 4 km od wybrzeża morza Śródziemnego. Liczy 30.000 mieszkańców.



Arab z Tetuanu.



Wojsko hiszpańskie w drodze do fortu w pobliżu Tetuanu.

przestrzeni około 60 km. pustynny teren przedgórski Rifu marokańskiego. Nieliczne wioski tubylcze, oraz fortyfikacje hiszpańskie raczej uzupełniają, niż przerywają monotonję krajobrazu. Na lokomotywie kolejki umieszczone są karabiny maszynowe. Bezwzględnie pewnych czasów, ani miejsc niema w krainie Maurów.

Stacja Tetuan znajduje się poza obrębem muru miejskiego.

Na wielkiej, pięknemi palmami wysadzanej „Plaza Espana“ panuje ożywiony ruch. Mieszają się tu wszystkie różnobarwne elementy Tetuanu.

Wchodzimy w zapadły zaułek w głębi „barrio moro”. Dokoła — labirynt wymarłych o tej porze, wąskich, krętych, po części krytych uliczek. Od czasu do czasu przesuwa się gdzieś bez szelestu olbrzymi cień w turbanie lub fezie: Maurowie chodzą cicho, jak wielkie koty. Jedynem zakłóceniem ciszy jest odgłos naszych, jednostajnych kroków. Nagle przystajemy. Z za ściany, gładkiej i białej, jak wszystkie inne, słychać śpiew. Monotonny śpiew kilku głosów męskich „unisono“. Jednocześnie słychać — chrobot piły. Zgrzyt piłowanej deski jest dźwiękiem tak charakterystycznym, że o omyłkę trudno. Narzekamy gorzko na banalną prozę tej piły, psującą tak doskonale egzotyczny nastrój. Nawet półksiężyc wypełzał dla uzupełnienia dekoracji, a przeklęta piła nietylko nie milknie, ale staje się jak gdyby głośniejsza, chwilami zagłusza nawet śpiew. Odchodzimy wreszcie. Podążając w kierunku muru północnego, rysujemy sobie dokładny plan, aby tu za dnia powrócić. Nazajutrz podług planu nie odnajdujemy ani śladu zaułka, dopiero po gruntownej utracie orjentacji stajemy przed znajomą ścianą. Poprzez gwar dzienny słyszymy wyraźnie obydwa odgłosy: śpiew i piłowanie. Tylko, że piła pracuje teraz prędzej, jak gdyby obustronnie. Zajęty podsłuchiwaniem, czuję nagle obcą dłoń na ramieniu. Za mną stoi strażnik hiszpański i potrząsa palcem. (Hiszpanie na znak przeczenia nigdy nie potrząsaja głową, lecz tylko wskazu-

— Nie wchodźcie do środka panowie — mówi — to „mezquita” (meczet).

Nadstawił ucha i aż zarżał z uciechy:

— Słyszycie go, caballeros? Już niedługo będzie gotów. Que barbaros!

Stwierdziwszy, że nie wiemy o co chodzi, ucieszył się jeszcze bardziej i — uświadomił nas.

Nie bez gęsiej skóry dowiedziałem się, że domniemany zgrzyt piły był to: oddech „wśpiewywanego“ w ekstazie derwisza!!! „Zabieg” ten trwa czasem dobę, czasem dłużej. Śpiewający kapłani zmieniają się, a on, derwisz, siedzi i „patrzy do wewnątrz siebie”, aż zebrane promienie osiągną pewne ognisko. Wówczas jest „gotów”.

— Cóż robi — pytam — kiedy jest gotów?

— Jeżeli to jest „tańczący”, rozkłada ramiona i kręci się młynkiem dookoła siebie przez wiele, wiele godzin, dopóki nie upadnie.

— A wówczas?

— Wówczas wstaje i kręci się dalej. Coraz częściej pada i coraz dłużej leży, aż go wreszcie ostatnia iskierka mocy opuszcza. Wtedy trwa w odrętwieniu dzień, dwa, czasem kilka dni.

— A co robią derwisze „nietańczący”?

— Przeważnie rozdzierają na sobie szaty i skórę. Niektórzy kaleczą się okropnie. Que brutos!

Tej nocy głucha cisza panowała w zaułku. Nic nie zdradzało, że za milczącą ścianą odbywa się wyładowanie pewnego akumulatora, którego nasze maszyny naładować nie potrafią.

* * *

W kawiarence maurytańskiej. Siedzimy na dywanie, w kapeluszach i bez obuwia. Dokoła nas — kilkanaście posągów ludzkich w turbanach i zawijadłach, od 1000 lat niespłoszonych przez żadne „krzyki” mody. Daremnie wmawialibyśmy sobie najlżejszą choćby oznakę antypatji z ich strony: ot patrzą przez człowieka, jak przez szybę. Czujemy się wśród nich, jak małpy w klatce lwów...

* * *

W haremie maurytańskim(!!). Jesteśmy w autentycznym haremie. Nie sen, nie film i nie blaga. Poprostu poznaliśmy Niemca, mieszkającego od 30 lat w Tetuanie, Niemiec ten przyjaźni się z krezusem maurytańskim, a krezus lubi imponować cudzoziemcom, pokazując im swe wspaniałe mieszkanie, nie wyłączając haremu, oczywiście „ewakuowanego” na czas odwiedzin. Gospodarz nasz rozumie tylko po arabsku, my zaś słabo znamy formalistykę wschodnią. Zaradzono tak, że Niemiec-tłumacz powtarza nam wszystko to co mówi Moro, jemu zaś — całkiem co innego, niż mówimy my.

Wygląd wewnętrzny haremu przynosi zaszczyt inscenizatorom filmów wschodnich. Poznaję: te same kolumny, wodotryski, orgja poduszek, dywanów i tkanin. Mylą się ci panowie tylko co do wielkości sal haremowych: są one przeważnie małe i przytulne. Gdzieżby się takiemu baszy chciało tłuc po haremie o hollywoodzkich rozmiarach! Żon — rzecz oczywista — nie widzieliśmy, zato gdziekolwiek znajdowaliśmy się, z za każdej ściany dochodził nas ich gwałtowny jazgot. Wydawało nam się, że jest ich co niemiara. W rzeczywistości były tylko trzy i one to krążyły za nami po wszystkich salach, podglądając, którędy się dało. Prawda, żadnych haremowych sensacyj nie spodziewaliśmy się, jednak wybrać się do haremu, aby być podpatrywanym, to już czyste kpiny.

— Coby powiedział nasz gospodarz — pytam tłumacza — gdybyśmy go poprosili o zaszczyt przedstawienia nas małżonkom?

— Czy prosił pan już kiedy Anglika o zaszczyt spędzenia z jego żoną sam na sam weekendu?

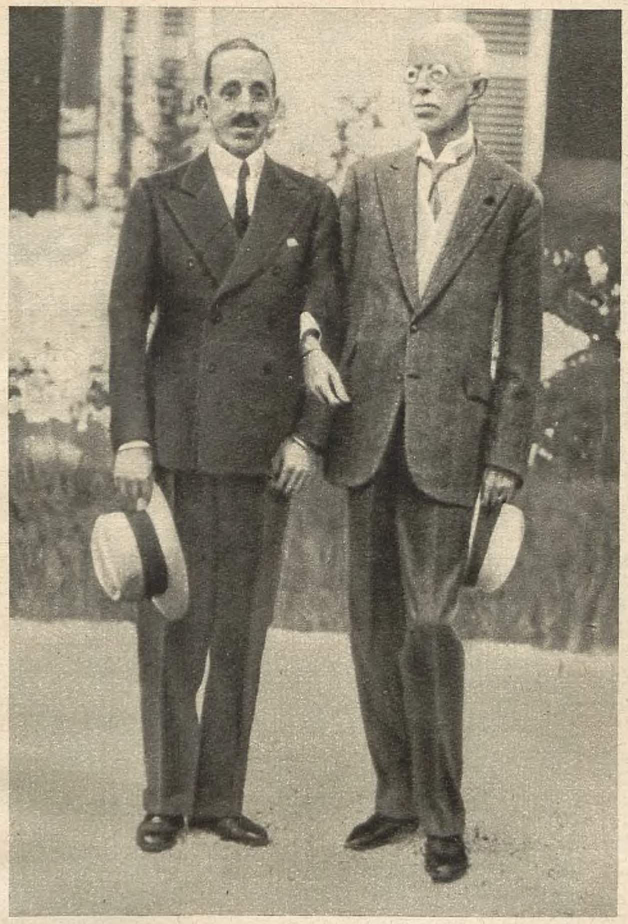
— Nie.

— To radzę spróbować przedtem...

Kilka lat temu Abd-El-Krim na czele pawstańczych Kabylów przypuszczał szturm do południowej bramy Tetuanu. Duch „barrio moro“ ocknął się wówczas na chwilę z letargu, myśli zawirowały pod turbanami. Niedoszły mściciel — uwięziony. Tym razem jeszcze Allah nie zechciał. El Moro czeka dalej.

Adam Szpak.

KRÓLOWIE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!



Król szwedzki Gustaw V w towarzystwie b. króla hiszpańskiego Alfonsa w Cannes.

Coraz mniej jest suwerenów, tych z Bożej łaski, w koronach na głowie. Wojna zlikwidowała monarchizm w Rosji, Niemczech i Austrji. Nawet Hiszpanja wybrała ustrój republikański. — Bezrobotni, zdetronizowani monarchowie tworzą jakby osobną rodzinę, która jak może, wspiera się wzajemnie, oczekując lepszych czasów. Wśród tej rodziny z wieku i urzędu pierwsze miejsce zajmuje wielki samotnik z Doorn. Jego synowie, chcąc nie chcąc, musieli ubrać się w mundury S. A. i udawać zagorzałych hitlerowców, pomimo, że Führer zapowiedział kategorycznie, że ani mu się śni wyciągać kasztany z ognia dla Hohenzollernów. Na Jasnym Brzegu urzęduje „car samodzierżca", operetkowy Cyryl, cesarz in partibus infidelium. Sam chyba jest przeświadczony o tem, że szanse jego na tron carski nie warte są torby sieczki. Znacznie optymistyczniej usposobiony jest Otto Habsburg. Otwiera się przed nim perspektywa aż dwóch tronów: węgierskiego i austrjackiego. Ale znawcy twierdzą, że zanim Otto zobaczy, jako prawowity król, względnie cesarz, Budapeszt i Wiedeń, upłynie jeszcze dużo wody w Dunaju.

Bardzo mądrze urządził się zdetronizowany król hiszpański Alfons. Poprostu podróżuje, wiedząc, że podróże kształcą i rozszerzają horyzonty. Przed kilku dniami Alfons spotkał się w Cannes z królem szwedzkim Gustawem. Obaj suwereni uściskali się czule i zagrali sobie w tenisa, a potem wzięli się pod ręce i spacerowali po promenadzie.

BRAT ZABIŁ BRATA



Kościółek w Oberstein.

W Oberstein w Niemczech (Oldenburg) znajduje się jedyny w swoim rodzaju kościół, przyczepiony do skały. Wedle starej legendy zbudował go przed wiekami własnoręcznie hrabia Wyrich von Daun, którego zamek stał w pobliżu. Daun pokłócił się ze swoim bratem i strącił go ze skały. Trapiony wyrzutami sumienia, postanowił wybudować kościół dla przebłagania Boga. Przez cztery lata trwała ta żmudna robota. Nazwę tego osobliwego kościoła tworzy grota skalna, w pośrodku której wytryska „cudowne źródło". Turyści chętnie odwiedzają ten kościółek, owiany czarem dawnych czasów i legend.



Cudowne źródło w kościółku w Oberstein.

ORAWSKIE KROPLE PLEBISCYTOWE.



Stary Słowak w charakterystycznym stroju i futrzanej czapie, trzyma dziecko na rękach.



Widok przez wrota słowackiej chaty. Przed domem gospodarz pyka swoją ulubioną fajeczkę.



WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. „SWIATOWID".

Ano — powiada mi ks. proboszcz z Orawki — ano chcieliście zobaczyć te starodawne słowackie obyczaje... A to będzie trudno. I ksiądz zadumał się przez chwilę. Trzebaby tu gdzieś pochodzić po starych chałupach, możeby się jeszcze co w skrzyni z tych narodowych strojów znalazło, bo się już teraz tutejsi ludzie po miejsku noszą. Ja sam to jestem stąd, rodem z Jabłonki. Pamiętam dobrze te czasy jeszcze za monarchji austrjacko-węgierskiej, kiedy lud nosił swoje stroje, trza było obcym pokazać, co to naród... Starsi pamiętają, ale młodsi, to w tych dawnych rzeczach nic już pięknego nie widzą... Zapomnieli.

Bo i któżby ta taką starzyznę chowął i poco? Przytwierdza Słowak, pykając fajeczkę.

Wychodzimy przed plebanję. Jest piękny, słoneczny dzień. Przed drewnianym kościółkiem w Orawce, jednym z najpiękniejszych zabytków budownictwa ludowego, szumi potężnemi konarami stuletnia rozłożysta lipa. Wokół kościoła stary cmentarz, z pochylonemi krzyżami, otoczony nawpół zburzonym murem z kamieni. Przysiadł na nim opodal lipy stary Słowak i twarz orlą zwrócił ku słońcu, co się jasnemi promieniami ślizga po brózdach mocnej, chłopskiej twarzy. Twarzy człowieka, co niejedno widział... Niejedno przetrwał i teraz jest już... na swojem. Ksiądz proboszcz oprowadza nas po kościele, pokazuje zabytki z XVIII w., piękną polichromję i złocone organy.

— To bardzo stara pamiątka — dodaje — darował je kościołowi jeszcze cesarz Ferdynand III-ci, który bardzo lubił Orawę i Słowaków.

Opodal kościoła wielki plac, zamknięty z trzech stron charakterystycznemi staremi domkami. W pośrodku największe karczmisko. Wszystkie domy mają typowe słowackie werandy, a niektóre t. zw. „wyskę", półpiąterko z balustradą. Na placu targ na konie. Niewiele tych koni jest, ale to podobno tylko przed świętami taki mały ruch. Konie ładne, duże, wypasione. Nic więc dziwnego, że i ceny, jak na dzisiejsze czasy, wcale wysokie. Koń kosztuje dwie stówki, a czasem i więcej. Jakiś chłop, oparty o wóz, nosi jeszcze białe góralskie portki. Ksiądz dobrodziej ucieszył się bardzo na ten widok i powiada: ano widzicie, macie tutaj kawałek słowackiego stroju, to jest takie stare, takie piękne. Widząc, że góralskie portki nie wzbudziły w nas zbytniego zachwytu, prowadzi nas dalej. Zwiedzamy kilka chat. Wszystkie wnętrza ładnie urządzone, schludne. Na czyściutkich łóżkach wielkie poduchy z szerokiemi, ręcznie haftowanemi wstawkami, ułożone „na sztorc", jedna obok drugiej, a na nich dopiero pierzyna, symbol zamożności i powagi rodzinnej w słowackiej chacie. W kącie piec, nierzadko z kolorowych kafli o zabawnym kształcie, przypominającym szafę. Pod oknem na stole świąteczne kołacze, żółte placki, pieczone z jajek i masła. Ksiądz dobrodziej jakoś się szczególnie rozczulił nad tymi kołaczami i bardzo troskliwie nam objaśniał ten piękny „dawny zwyczaj", jak to się jajka uciera z masłem, no i potem, to są narodowe „kołacze". Pytam się jeszcze raz o te stroje ludowe, bo przecież przyjechałem na Orawę z wyraźnym planem, ażeby oglądnąć folklor. Ale jakoś nigdzie nie możemy znaleźć słowackich kapot, ani czap futrzanych. Wreszcie poradził nam ksiądz proboszcz jechać dalej do Jabłonki, że tam podobno jakaś chałupa jest, gdzie takie stroje mają, a nawet dwa lata temu ktoś się ubrał, bo to podobno przedstawienie, czy teatr urządzali z panem nauczycielem i z panem aptekarzem. Więc powiada, najlepiej będzie, jak panowie do tego aptekarza pojadą.

Pojechaliśmy. Apteka w Jabłonce mieści się w skromnej, chłopskiej chacie i wygląda wcale nieimponująco. Zato gospodarz niezwykle uprzejmy. Powitał nas serdecznie, pokazał zaraz, że ma „Kuryera", „Światowida" i inne pisma, bo to ludzie i na wsi chcą się coś o Bożym świecie dowiedzieć. Słoików z lekami nie było znowu tak wiele, ale zato podobno te najskuteczniejsze. Pytam się pana aptekarza, jakie tu leki najwięcej idą. A on na to: krople plebiscytowe. Przyznam się, że jeszcze o takich nie słyszałem. Pan aptekarz uśmiecha się i patrząc filuternie zza okularów, wręcza mi butelczynę z etykietą, na której narysowany jest Polak, Czech, razem połączeni winietą z wieńca, a między nimi groźny rewolwer. A teraz wyjaśnienie. Otóż za czasów plebiscytu, to się ludzie bardzo chętnie temi kroplami kurowali, bo jak Czech łyknął, to raz dwa został Słowakiem, a jak drugi raz się napił, to ze Słowaka zrobił się Polak. No, a jak nie pomogło, pytam się pana aptekarza. No, to se może w łeb palnąć z tego rewolweru, bo już nic nie wart. A niech się pan z tych kropli nie śmieje, bo tu sam pan generał Galica po nie jeździł i dwie spore butelki zabrał, tak mu smakowało. Córeczka aptekarza przyniosła kieliszki, postawiła na ladzie, mówiąc coś do ojca po węgiersku. A pan aptekarz, jakby od niechcenia mruknął, że to niby małe dziecko... A potem nam opowiadał, że na Węgrzech po czeskiej stronie, za panowania austrjackiego miał sporą winnicę, a wino było niezłe, tego mu dzisiaj bardzo żal. Napiliśmy się „kropli", które się okazały doskonałą wódką jałowcową. Taki koniak słowacki, powiada pan aptekarz. Ale co do strojów ludowych, tom się jakoś nie dogadał (to dopiero pech!), bo akurat ta chałupa, co te stroje były pochowane, to się zeszłego roku spaliła. Pan aptekarz poszedł śladami księdza proboszcza z Orawki i poradził nam, żebyśmy jechali do Chyżnego, na samą granicę czeską... tylko żebyście „ślabana" nie przejechali, bo was Czesi dołapią.

Jedziemy ku granicy czeskiej. Na lewo od drogi, na wzgórzu wznosi się biały, murowany kościół. Jak się dowiedziałem, zbudowany także jeszcze za czasów cesarskich z funduszu kościelnego węgierskiego, a teraz przyznany Polsce, ale bez żadnych dochodów, więc taki trochę bezpański. Wita nas przed plebanją ksiądz, tymczasowo zarządzający probostwem. Ale na wszystkie pytania, odnośnie do ludowych zwyczajów, czy strojów, odpowiada negatywnie. Tutaj ludzie nie mają na to czasu, pracują, powodzi im się dobrze, jest to jedyna może wieś na pograniczu, która nie wie, co znaczy kryzys. Tak, jak żyli, jedli, czy ubierali się dziesięć czy dwadzieścia lat temu, tak żyją teraz. Prawda i to, że wymagania mają niewielkie. Pracują ciężko, a potem zjedzą kaszy i śliwek, to im wystarczy. Na plebiscycie, to wcale nieźle wyszli, bo i Polacy i Czesi dawali im co mogli, a oni brali co mogli. W Chyżnem znalazłem jednak najwięcej motywów słowackich, bo ks. proboszcz kazał się zaraz dwom chłopom pożyczyć gdzie we wsi słowackich czapek i przyjść prędko odfotografować. Proboszcz nazywa swoje owieczki czule „brytanami", bo ci chłopi wierni są i dobrzy...

Wracamy ku Krakowowi. Nasze auto mknie jasną wstęgą drogi, przecinają rozległe pola. Na horyzoncie białe kontury Tatr.

Błyszczące ostrze pługa orze ziemię, rozwilgłą od wiosennego śniegu. Chłop wsparł się mocno pługu i patrzy ku granicy, ku tym bratnim polom, które błyszczącym pługiem orze jego brat...

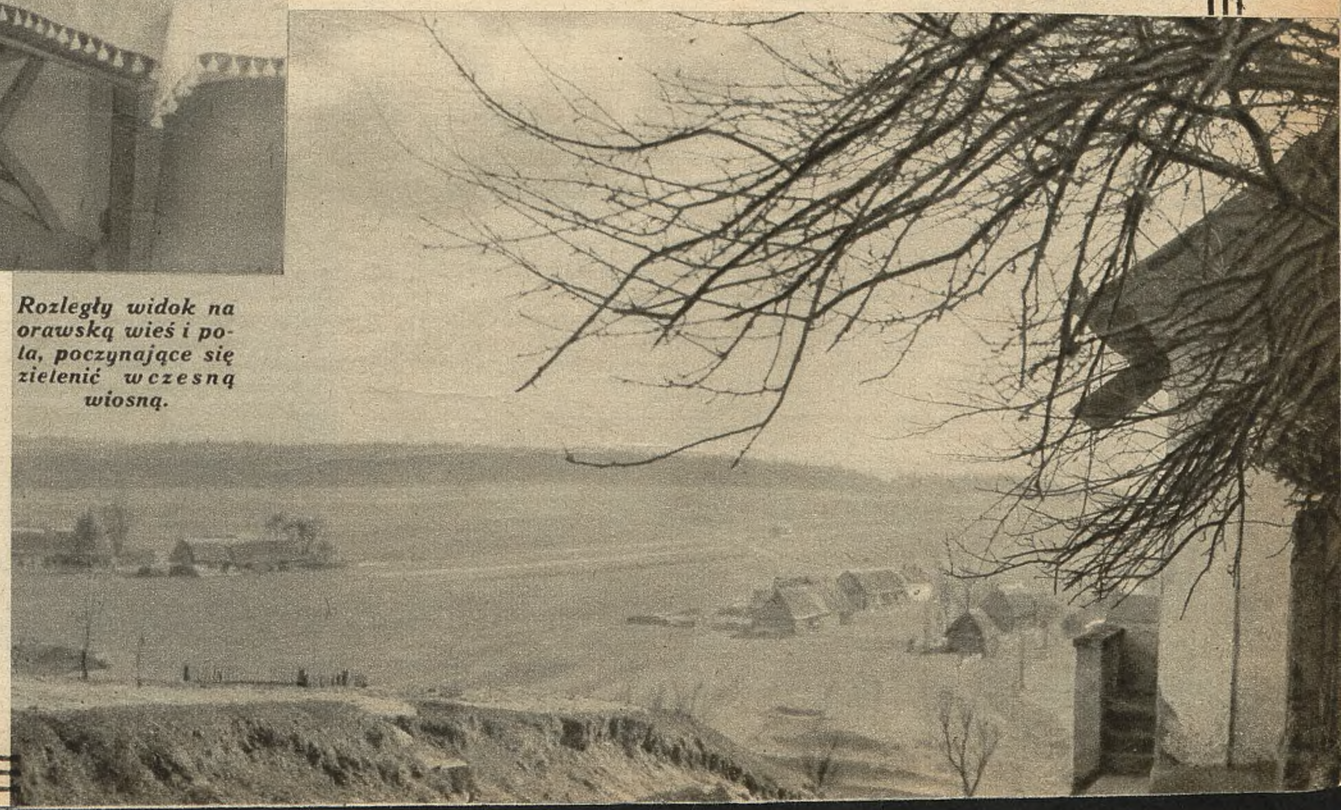
Jan Szancer.



Wnętrze chaty orawskiej.



Przedświąteczny „targ na konie" w Orawce na placu przed starą karczmą.



Rozległy widok na orawską wieś i pola, poczynające się zielenić wczesną wiosną.

LUDWIK PUGET, POZNAŃ.

»BURGUND ZE SKLEPU« I »INTERES KAWY«.

Średniowieczna anatomja dzieliła człowieka piętrami na jego części najszlachetniejsze, średnie, i całkiem poziome. Na fizjonomję miasta składają się również elementy ułożone w podobne warstwy wedle swej godności. Zabytkowe kościoły, fasady wspaniałych gmachów publicznych, pomniki, to element reprezentacyjny, ten od góry. Od samego dołu życie zaułków i skupienia nędzy malują cienie obrazu, czasem bardzo czarno. Średnią przeciętną wykreśla zwykła ulica, sklep.

Może też dlatego, dla całego mnóstwa średnich, bardzo średnich mentalności sklepy są główną atrakcją miasta.

Byłem raz świadkiem charakterystycznej sceny. Po renesansowym dziedzińcu paryskiego Luwru błąkała się jakaś starsza turystka, szukając drzwi do muzeum. Zaczepiła przechodzącą młodą panią, która szła czytając gazetę, i zapytała ją, gdzie jest wejście do Luwru.

— Do magazynu? — zapytała tamta, odrywając oczy od dziennika.

Jakżeż jaskrawo zdradził się krąg zainteresowań tej mieszczaneczki, dla której pośrodku dziedzińca Walezjuszów słowo „Luwr“ oznaczało znany bazar tej nazwy, położony w sąsiedniej ulicy! W jego to wnętrzu obracał się świat jej myśli i marzeń.

Postąpimy dziś jak ta pani i spoglądać będziemy w Poznaniu na same tylko sklepy.

Przepraszam... jeżeli o Poznaniu mowa to nie „sklepy“, lecz „składy“. W Wielkopolsce słowo „sklep“ zachowało swoje starodawne znaczenie i służy do nazywania piwnicy. Nie trzeba się łudzić, gdy w wiejskim dworze każą do obiadu przynieść butelkę burgunda „ze sklepu“, że to w miejscowym konsumie można nabyć tak szlachetnego trunku. Poprostu posłano po wino do piwnicy.

Zniknęła już — na szczęście — dawniejsza, z niemieckiego przejęta nazwa: „interes“. Jeżeli się jeszcze czasem napotyka w potocznej gwarze kupieckiej, to w każdym razie nie pojawia się już nigdzie na szyldach, na których kilkanaście lat temu można było czytać takie zagadkowe określenia, jak np.: „specjalny interes kawy“.

Życzmy poznańskim sklepom, aby nie były tylko składami i aby robiły interesy. I miejmy nadzieję, że tak jest, sądząc po ruchu, na oko dosyć ożywionym.

Pracowita i ochocza usługa w sklepach świadczy o wysokiej kulturze Poznania. Uprzejmość sprzedających równomierniejsza jest niż w Warszawie, a w niczem nie ustępuje krakowskiej. Tylko tempo załatwiania klienta jest od krakowskiego nieco szybsze. W Krakowie zdaje się mieć więcej czasu zarówno sprzedający, jak kupujący.

Czy ten ostatni dłużej się tam namyśla, dlatego, że ma większy wybór? Trudno pod tym względem przeprowadzać porównania bez obawy popełnienia niesprawiedliwości. Można conajwyżej zauważyć, iż uderza w Poznaniu stosunkowo pokaźniejsza może, niż gdzieindziej w Polsce, ilość zupełnie pierwszorzędnych sklepów spożywczych, tych, które się popularnie nazywa „handlami delikatesów“. Uderza również bardzo rozwinięty handel owocami i to tak krajowymi jak zagranicznymi, w rozmaitych i nieraz okazałych gatunkach. Czy naprawdę znajduje się wielu odbiorców na ten kosztowny towar?

A teraz parę słów o estetycznej stronie składów poznańskich.

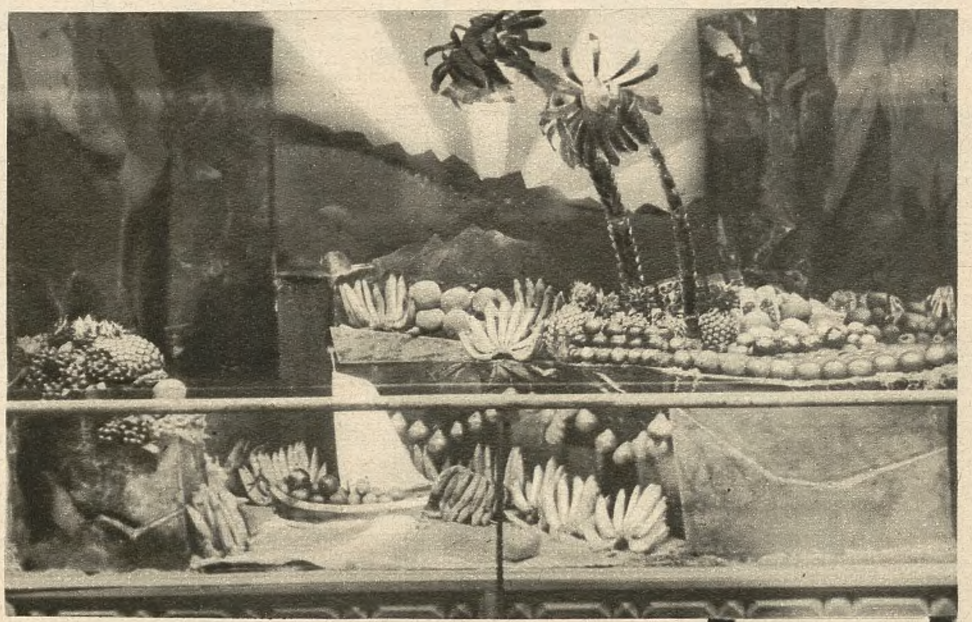
O ile wewnętrzna ekspozycja oznacza się zwykle nienaganną czystością i świeżością, o tyle Poznań — po za pewnymi wyjątkami — czeka dopiero na sztukę urządzania okien wystawowych i sklepowych fasad. Sztuka ta rozwinęła się na świecie bardzo wysoko w powojennych dopiero czasach, równolegle z całym ruchem urbanistycznym. „Witryniarstwo“ stało się osobnym fachem, w momentach dobrej konjunktury równie cenionym, jak popłatnym.

Powiedział ktoś o malarstwie — odnośnie oczywiście do kompozycji obrazu — że jest ono „sztuką poświęcania“. Cała trudność witryniarskiej sztuki polega na tem, że i ona wymaga poświęcania. Nie podobna osiągnąć harmonijnej całości, chcąc wystawić próbki wszystkich towarów, jakie się na sprzedaż posiada. Kupiec zaś obawia się, że wykwint kilku gustownie ułożonych przedmiotów, nie zastąpi encyklopedji taniości, rozłożonej w oknie. Obawia się tego szczególnie dziś, gdy klient szukający z własnej inicjatywy towaru w dobrym gatunku, jest rzadkim, i trzeba zatrzymać przechodnia taniemi okazjami, jak największą ich ilością, która zaczepia go, jak handlarki z wnętrza Sukiennic.

Mimo to, sztuka pięknych a uproszczonych wystaw sklepowych rozwinęła się dziś ślicznie w Warszawie, zarówno jak w Krakowie. Miejmy nadzieję, że drogą konkursów osiągnie się i w Poznaniu podobny rezultat.

Drugą dziedziną estetyki sklepowej jest sprawa całej fasady, szyldu, napisów bocznych. Ogromne a nie sharmonizowane ze sobą napisy, z których każdy tłoczy się na sąsiedni, dają ulicy szpetny wygląd. Nikt zresztą na tem dobrze nie wychodzi, gdyż stłoczone napisy zlewają się w jedną chaotyczną całość, w której poszczególna firma mniej działa na oko przechodnia, niż gdyby litery były nawet nieco mniejsze, a za to całość bardziej odosobniona.

Tak, oczywiście, ale pod warunkiem, aby sąsiad zrobił tosamo. Któż zgodzi się pierwszy nałożyć hamulec własnej reklamie, zawartej w szyldzie? Wprowadzenie jakichkolwiek karbów estetycznych może przyjść jedynie ze strony czynnika zewnętrznego, narzucającego swą wolę wszystkich, sąsiadującym ze sobą przedsiębiorcom. W Krakowie



Magistrat osiągnął w śródmieściu wspaniały rezultat. Zabytkowy charakter domów i ulic dał tam asumpt do daleko idącej ingerencji ze strony Miasta. Zwykła nowożytna ulica nie tak łatwo dostępuje łask narzuconej dyscypliny. Tam, gdzie się ta ostatnia zjawi, daje ona pod względem estetycznym doskonałe wyniki. Mamy tego przykład w Poznaniu na kawałku ulicy Marsz. Focha, zajętym przez duży i piękny dom, będący własnością miejską. Tu Magistrat, jako gospodarz, wprowadził napisy sklepowe o jednolitym a pięknym wykroju liter. Harmonja ta została niestety w ostatnim czasie zakłócona.

Żadne miasto w Polsce nie posiada tyle owocarni, co Poznań.

Nie może oczywiście być mowy o stylowej unifikacji szyldów w mieście z ramienia gminy. Ale ściślejsza kontrola estetyczna napisów, piękna ich liter, barwy szyldu, całej sklepowej fasady, jej stosunku do architektury i otoczenia, wywołałaby zapewne i ze strony właścicieli przedsiębiorstw, zarówno jak ze strony dekoratorów, pomysłowość o wyższym poziomie artystycznym. Pomysłowość, obejmującą i samą wystawę sklepową.

Nie jest to rzeczą obojętną. W każdem mieście całkiem nawet przeciętnym ulicom piękny wygląd może nadać sklep, czy „skład“, przyczem nic nie cierpi „interes“.

I kto wie, czy nie miała trochę racji ta paryska paniusia, która pośród dzieł sztuki myślała o sklepie.



Tam, gdzie skupia się życie handlowe Poznania.



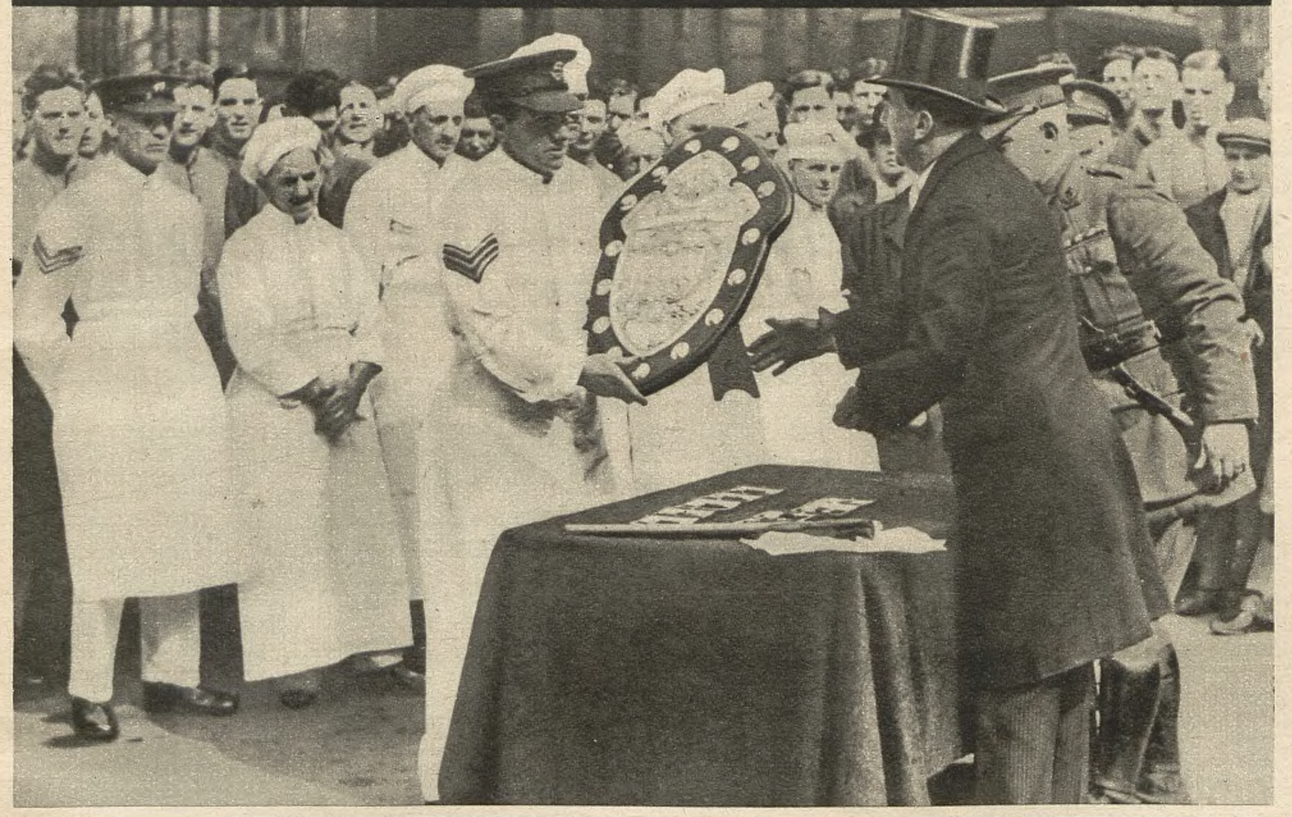
Fragment ulicy Marszałka Focha.



Plac Wolności w Poznaniu.

Fot. Ulatowski, Poznań.

APEL KUCHARZY.



Kucharze wojskowi nie cieszą się naogół najlepszą opinją, t. zn. nie uchodzą za mistrzów w swoim fachu. Codzień rano wrzucają do ogromnego kotła olbrzymie kawały mięsa, przeznaczonego na rosół. W południe obok kuchni ustawia się długi szereg żołnierzy z menażkami, które kucharz wypełnia zupą i mięsiwem. Żołnierze nie są grymaśni, jedzą, aż im się uszy trzęsą. Czasem tylko któryś fuknie, że dostała mu się zamała porcja i że mięso jest łykowate. Kucharze jednak niewiele sobie robią z tych grymasów, wiedząc, że wystarczy zanurzyć chochlę w kotle i dodać takiemu malkontentowi deser, a już uspokoi się. Od czasu wielkiej wojny sprawa racjonalnego żywienia wojska weszła na zupełnie nowe tory. Władze uznały, że żołnierz, aby był zdrów, musi być dobrze i rozumnie karmiony. Dlatego prawie wszystkie armje europejskie przeszły na nowy system odżywiania. Najlepszych kucharzy mają formacje angielskie. Co roku stają oni do konkursu przed specjalną komisją o nagrody. Tego roku zwyciężyła 9-ta baterja pułku Middlesex. Kanonierzy chwalili sobie bardzo konkursowe potrawy i zjedli je z apetytem. Na zdjęciu kucharz zwycięzca 9-tej baterji, otrzymujący tarczę honorową.

MIGAWKI WARSZAWSKIE.

TROCHĘ O TRAMWAJU.

Bezbarwna, szara godzina. Czwarta czterdzieści siedem rano.

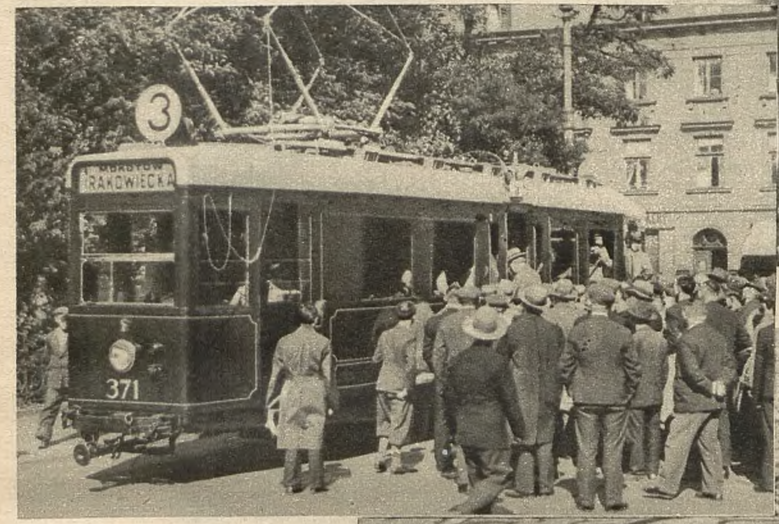
Zaspany stróż nocny otwiera zwolna sześć wielkich bram i zapala światło. Tysiąc elektrycznych świec rozjaśnia nagle wnętrze remizy.

Drzemią wewnątrz bezduszne, martwe potwory. Zimne cielska z żelaza i szkła leżą w stalowych szynach kolorowe, ponumerowane — w długich, wnych rzędach.

Dziwny ostry zgrzyt... Snop iskier strzela z nad kabłąka i z pod kół. Stalową korbą zakręcił człowiek... Martwy potwór ruszył w ciemne, śpiące jeszcze miasto.



Wnętrze wozu tramwajowego.



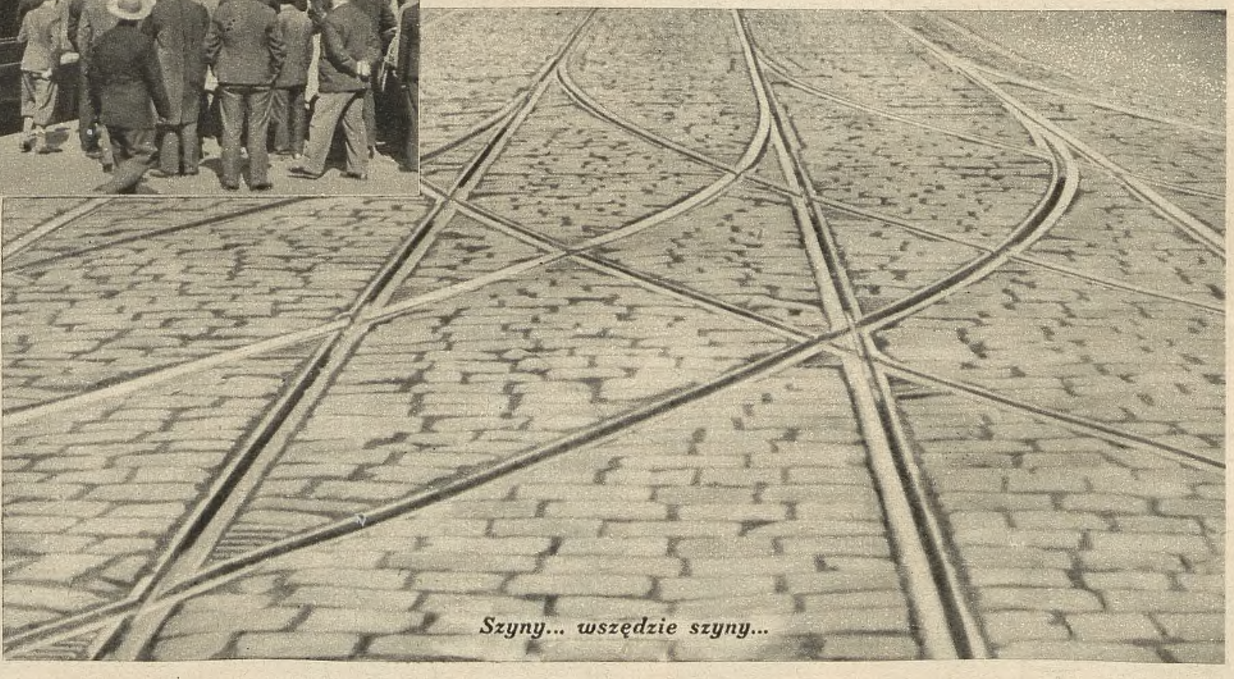
Na przystanku.

Piąta szesnaście.

— — — — — — —

Miasto huczy. Piekielny hałas ulic. Tempo nowoczesnego życia. Miasto wre.

Miasto spętane żelazną siecią stalowych szyn. Miasto przykryte stalową pajęczyną drutów tramwajowych. Wszystkie, wszystkie główne ulice jęczą od tego żelaza, co wryło się w ich nawierzchnię, co wisi tysiącem kilogramów na ich kamienicach i na wysokich słupach. Miasto podzielone na bezmyślne odcinki przystanków tramwajowych męczy się, poddaje z rezygnacją. Miasto wie, iż tak być musi.



Szyny... wszędzie szyny...

— — — — — — —

Piętnastka. Ósemka. Dwudziestka piątka. Jedzie! Jedzie!

Tłum i ścisk. Tłum zaczytany, tłum śpieszący do pracy. Niecierpliwy i oszołomiony monotonnym warkotem wozu.

Ktoś senny wraca po całonocnej pracy, ktoś jedzie sam — zatroskany.

Ktoś jedzie ze swemi myślami. Radosny, roziskrzony. Rachuje przystanki. Jeszcze pięć! Jeszcze trzy! Prędzej, prędzej! Jedzie do swego szczęścia.

Wszystkie bóle, wszystkie dole i niedole miasta jadą w tym tłumie. Mieszają się, żyją jednem życiem, złączonem w tem wnętrzu tramwaju nie wiadomo, na jak długo? dlaczego?

— — — — — —

Godzina czwarta. Wracają robotnicy z pracy. Czytają tanie gazety.

Godzina ósma wieczorem. Jadą ludzie do teatrów. Wytworni, w futrach. W tramwaju pachną perfumy.

Zbliża się noc. Słupy tramwajowe wyszukują swemi świecącemi, czerwonemi kulami ostatnich pasażerów. Za chwilę zaczną gasnąć jeden po drugim.

Wyjeżdżają wozy nocne. Jadą ciszej niż dzienne i coraz rzadziej.

Usypia miasto. Tylko w odległej ulicy błyszczy niebieskie światło i huczy młot. To robotnicy spawają zepsute szyny. Spawają nową stalową szczęką kamienny bruk ulicy. Zamykają szerokie koło szyn, obejmujących całe miasto.

Jutro przebiegnie tędy tramwaj.

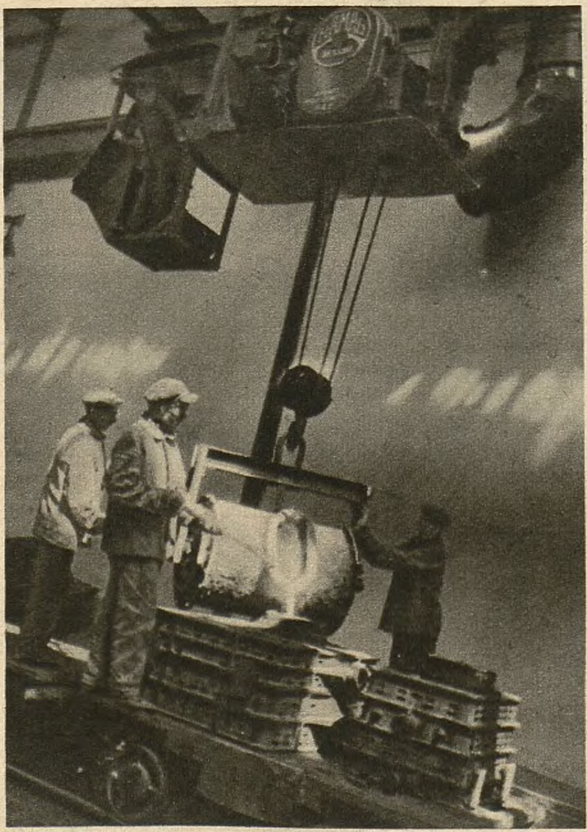
Roman Burzyński.

LUDZIE Z KOŁCHOZU.



Dzieci z ochronki w kołchozie, przyglądają się z zainteresowaniem rasowej śwince.

Największą walkę wypadało Stalinowi stoczyć z kułakami, czyli bogatymi chłopami, którzy w republice sowieckiej reprezentowali żywioł najbardziej zachowawczy i przywiązany do własności. Sabotowali oni wszelkie zarządzenia władz centralnych i położyli się całym ciężarem swojej olbrzymiej masy na progu nowego porządku. Drogą drakońskich zarządzeń Stalin złamał ich upór i przeprowadził kolektywizację wsi, polegającą na tworzeniu wspólnot rolnych, czyli t. zw. kołchozów. Są to olbrzymie gospodarstwa należące do ściśle określonych osób, gdzie gospodaruje się na wspólny rachunek, wedle „part-linji“ i dąży do stworzenia typu nowego człowieka, przeobrażonego psychicznie do gruntu. Zmagania się tych nowych prądów z dawnemi masami odmalował świetnie Gładkow w swej znanej powieści „Nowa ziemia“



Największa w Sowietach fabryka traktorów znajduje się w Czelabińsku. Zaopatruje ona kołchozy w maszyny rolnicze. ZDJĘCIA AGENCJI „UNIONBILD“.

Z krajów europejskich jedna tylko Hiszpanja poszła za wzorem kołchozów i przeprowadzając reformę rolną, postanowiła nie rozdrabniać majątków grandów, ale oddać je we wspólne posiadanie gromad, uważając, że dawne gospodarowanie na drobnych działkach jest nieekonomiczne i niecelowe. Jak dotąd, sowiecki eksperyment z kołchozami obok pewnych plusów, wykazuje jednak olbrzymie minusy. Tylko najbardziej ideowi udarnicy cieszą się ze swojej pracy pionierskiej, reszta uważa, że została wywłaszczona ze swojej odwiecznej własności i czuje się nieznośnie w tych nowoczesnych koszarach rolnych.



Kobiety, zajęte segregowaniem jaj jedwabników. Zdjęcie z kołchozu „Baydak“ (Azja sowiecka).



KRÓLESTWO WIOSENNEGO KAPELUSZA

— Kiedy przyjdzie wiosna? — pytałam w zamierzchłych czasach mego dzieciństwa, wyrocznię we wszelkich wątpliwościach, nianię, która zawsze miała gotową i przekonywującą odpowiedź.

— Gdy mamusia ubierze kapelusz z kwiatami — brzmiała odpowiedź.

I czekało się z dnia na dzień, nieraz długie tygodnie na ten ukwiecony kapelusz, który był synonimem wiosny w pojęciu owych czasów.

Odtąd jakże zmieniły się wiosenne kapelusze. Skala ich możliwości jest dzisiaj prawie że niewymierna. Bo nosimy oto i wszelkie słomki czarne i kolorowe, a także lekkie filce do użytku sportowego i obok nich kapelusze jedwabne. Te ostatnie dużą rolę odgrywają w obecnym sezonie. Użyto do ich wykonania lśniących jedwabi, a przedewszystkiem tafty, której sztywna konsystencja utrzymuje doskonale po wystembnowaniu fason kapelusza.

Kwiaty, jako przybranie kapelusza, pozostawiamy raczej na czas pełnego lata, zadowalając się obecnie łączeniem dwu kolorów w wykonaniu jednego kapelusza. Przy kolorze czarnym i brązowym ślicznie i świeżo wyglądają odcienie żółte i zielone. przy granatowym — kolory błękitne, idące, jak dotąd, na czele barw wiosennych. Można też tworzyć inne zestawienia kolorów, ale to już zależnie od indywidualnej urody lub potrzeb dostosowania do sukni, płaszcza czy kostjumu. Im ostrożniej z niemi się postępuje, tem korzystniej wpłynie to na styl ubioru, który jest ważnem zagadnieniem współczesnej mody i wymaga prawdziwie dobrego smaku, o który, nawiasem mówiąc, często najtrudniej.

Ogólna linja kapelusza, odsłaniającego czoło, wprowadziła korzystną zmianę, która dla wielu pięknych twarzyczek stwarza urocze i naturalne obramowanie, zwłaszcza przy dużym fasonie kapelusza.

Wiosenny kapelusz króluje już wszechwładnie. **J. Z.**

Fantazyjny czepek z czarnego jedwabiu, przybrany ryszą i woalką.

Oryginalny toczek z czarnej słomki, zsunięty nisko nad prawe oko.

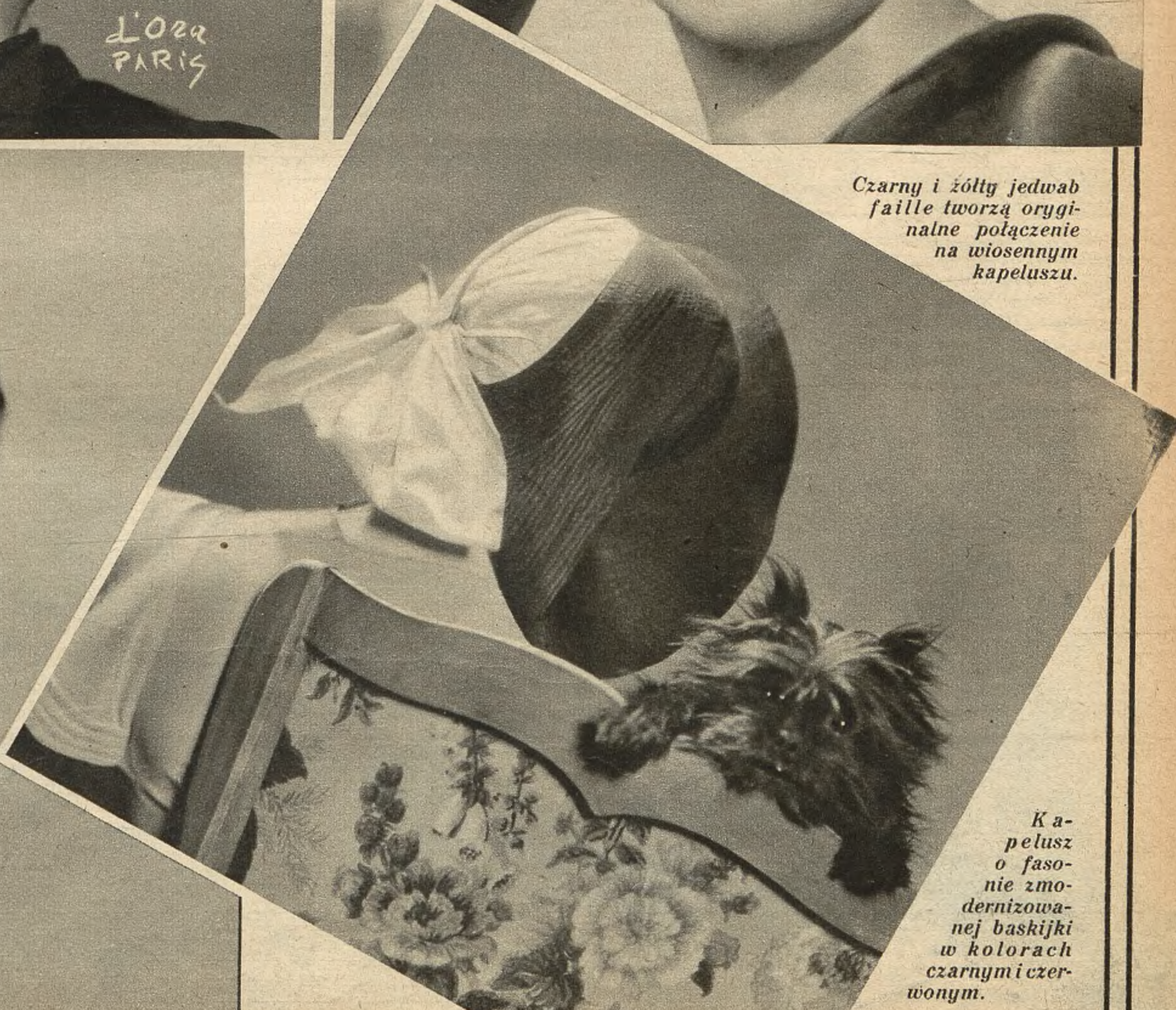
Praktyczny kapelusz ze stembnowanej tafty. Czoło całkiem odsłonięte.





Czarny i żółty jedwab faille tworzą oryginalne połączenie na wiosennym kapeluszu.





Kapelusz o fasonie zmodernizowanej baskijki w kolorach czarnym i czerwonym.

PRECZ Z MIASTA — Z POWROTEM NA ROLĘ!



Pociąg, który na pustkowia kanadyjskie przewiózł bezrobotnych, „ewakuowanych" z miast.



Młody inteligent, który wyspecjalizował się w chwytaniu królików, jest teraz żywicielem całej rodziny.

Cywilizacja nowoczesna jest niewątpliwie produktem miasta. Historja lat ostatnich, to historja nieprawdopodobnego wprost rozrostu miast, które zwłaszcza na terytorjum Stanów Zjednoczonych przybierały na liczebności w sposób niesłychany i zastanawiający. Wielomiljonowe skupienia ludzkie mnożyły się w Ameryce, wysysając żywą krew z organizmu kraju i zabierając w swój obręb wszystkie najlepsze elementy.

Potęga miasta i glorja urbanizmu doznały wstrząsu i ciosu w momencie, kiedy rozszalał się kryzys. Nędza zeszła przedewszystkiem na ulice miast, a bezrobocie uczyniło tam najstraszliwsze spustoszenia. Dość wspomnieć przeszło miljonowy Wiedeń, gdzie jedna czwarta ludności cierpi bezrobocie. W cieniu drapaczy chmur Nowego Jorku i Chicago obozują gromady nędzarzy, wyczekujący na łyżkę ciepłej strawy z bezpłatnych kuchni. Tworzy się nowy „przemysł narodowy" w postaci istnych wędrówek, t. zw. hobosów, czyli włóczęgów, którzy przejeżdżają „na gapę" kolejami i starają się coś użebrać w każdem mieście. Tego rodzaju wędrówki ludów przybrały w Ameryce formę niespotykaną a ilość „hobosów", włóczących się po Ameryce obliczają na dwa do trzech miljonów.

Nie ulega dziś wątpliwości, że kryzys jest w dużej części wynikiem zakłócenia równowagi i proporcji pomiędzy miastem a wsią. Komercjalizacja i uprzemysłowienie, nadzieja wielkich i łatwych zysków, rozrywki miasta, i t. d. spowodowały odpływ sił ludzkich z rezerwoarów wsi do miasta. Odpływ ten przybrał w latach ostatnich charakter chorobliwy i doprowadził w niektórych państwach do zupełnego upadku wsi. Tego rodzaju objaw spotykamy np. w Anglji, która w razie blokady nie potrafiłaby wyżywić się w przeciągu tygodnia własnemi produktami. Również Ameryka zaniedbała rolnictwo i spowodowała ruinę stanu farmerów, dotkniętego najciężej kryzysem i katastrofalnem obniżeniem się cen zboża. Dopiero rząd Roosevelta postanowił sobie jako jedno z zadań przyjście z pomocą zubożałym farmerom.

Kanada, ten kraj wielkich bogactw i bardzo trafnych posunięć polityki wewnętrznej, zwróciła na siebie uwagę całego świata kilku dobrze obmyślonemi projektami. Ona to pierwsza zainicjowała t. zw. obozy pracy, gdzie skoncentrowano przymusowo bezrobotnych, utrzymując ich w rygorze wojskowym, dając pełne wyżywienie i dach nad głową, w zamian za co bezrobotny był zmuszony do pracy przy budowie dróg, mostów, karczowaniu lasów, i t .d. Kanada wysunęła słusznie zasadę ,że płacenie bezrobotnym zasiłków i pozostawianie ich swojemu losowi jest szkołą lenistwa, a zatem niemoralności. Przykład Kanady podziałał na kilka innych państw, które uznały, że płacenie zasiłków za nieróbstwo jest społecznie szkodliwe.

Ta sama Kanada, która stworzyła u siebie szereg obozów pracy z doskonałym wynikiem, zrozumiała szybko, że miasta są przeludnione i ze ta ludność, która mogłaby żyć jako tako na własnej roli, stacza się na dno nędzy w rojowiskach miejskich. Rząd wystąpił z projektem stanowczym i energicznym, wytransportowania szeregu rodzin byłych rolników z miast z powrotem na rolę. Sfery kompetentne oddały do dyspozycji tym bezrobotnym odpowiednie tereny, które trzeba częściowo zagospodarować i przysposobić do celowej gospodarki. Specjalne pociągi wywiozły z kilku miast kanadyjskich rodziny byłych rolników z powrotem na rolę.

Rząd kanadyjski przygotował cały, obszerny i rozsądny plan kolonizacji przy pomocy bezrobotnych, niewyzyskanych jeszcze terenów i nieużytków, wykarczowania lasów, tworzenia wzorowych farm, i t. d. Rząd oddaje do dyspozycji nietylko tereny i role, ale również i domki oraz narzędzia rolnicze, rozkładając to wszystko na długoterminowe spłaty, którym nawet bardzo niezamożny rolnik potrafi wydołać. Ponieważ Kanada rozporządza wielkiemi terytorjami zupełnie niewyzyskanemi, nie zachodzi obawa, aby zabrakło roli pod uprawę i osadnictwo.

Tak na swój sposób rozwiązuje energiczna Kanada problemy, trapiące współczesną cywilizację. Przypomnieć wypada, że i u nas w Polsce przed rokiem zgórą rzucono hasło: „bezrobotni na rolę"! Niestety hasło to jakoś ucichło, a miasta są dalej zbiornikiem wszelkiego rodzaju nędzy, która garnie się ze wsi, łakomiąc się na zwodniczy blask miejskiego bogactwa. Również inteligencja nasza nadmiernie skupia się w wielkich miastach, obawiając się panicznie miasteczek i wsi, gdzie mogłaby się jakoś lepiej utrzymać w okresie kryzysu. Kanadyjski eksperyment powinien zainteresować wszystkie państwa europejskie, które przez zwichnięcie równowagi między wsią a miastem cierpią coraz ciężej na chorobę kryzysu.

z. g.



Bezrobotni przybywają na saniach do miejsca przeznaczenia.

Zdjęcia Ag. ATLANTIC.



Po kilku tygodniach wytężonej pracy zbudowali sobie przyszli farmerzy prymitywną chatę, w której czują się dobrze.

FILM



ŻYWA DRAPERJA.

Zawód gwiazd filmowych nie należy do najlżejszych. — Prócz bowiem ciężkiej wielogodzinnej pracy przy zdjęciach filmowych, muszą one pozować specjalistom-fotografom do t. zw. fotosów. Układanie pozy do takiej fotografji jest niesłychanie uciążliwe. Fotograf traktuje swój model jak draperję i układa ją nieskończoną ilość razy, ażeby każdy, najdrobniejszy szczegół wyszedł nieskazitelnie pięknie na kliszy Coraz trudniej jednak jest o wyszukiwanie nowych póz, to też fotografje, które otrzymujemy, są coraz to ekscentryczniej skomponowane. Ofiarą takiego fotografa w poszukiwaniu nowego ujęcia jest piękna artystka Judith Allen (na zdjęciu).

TWARZĄ W TWARZ Z BESTJĄ.

„FISHING LIONS".

To wyrażenie angielskie nie jest do przetłumaczenia. „Fishing" znaczy przedewszystkiem łapanie ryb. Ale wyraz ten używany jest również w przenośni. Np. mówi się „fishing complimentes" o kimś, kto lubi wywoływać komplementy. W zestawieniu z „lions" wyraz „fishing" nie może być na polski przetłumaczony ani — „polowanie na lwy" ani „łowienie lwów". Polowanie bowiem oznacza sport wieńczony zabiciem zwierzęcia, a łowienie lwów miałoby na celu branie zwierza żywcem. Jak jednak nazwać wyprawę łowiecką, która ma na celu zetknięcie się najbliższe ze lwem, by zajrzeć śmierci w oczy i ten moment sfilmować, na to jeszcze technicznego wyrażenia nie posiadamy, a trzeba je stworzyć, bo mamy właśnie do zanotowania takie „polowanie na lwy".



Szukam wzroku lwa i spotykam się z jego spojrzeniem...

Zaraz zobaczymy, że nie wszyscy dziedzice wielkich fortun amerykańkich są zblazowani. Bo oto 20-letni Jerzy Vanderbildt, syn Alfreda, a wnuk sławnego miljardera Corneliusa, posiadający osobistego majątku czterdzieści miljonów dolarów, opowiada z wdziękiem młodości i z prostotą, na jaką może się zdobyć natura jedynie bohaterska, że — — —. Ale dajmy głos Jerzemu Vanderbildtowi.

Niech opowie, jak to było:

„Gdy wylądowałem w Afryce i zetknąłem się z bywalcami dżungli, doświadczonymi myśliwymi najwyższej klasy, zasypany byłem ostrzeżeniami: — „Nie wolno panu tego, nie wolno tamtego". Przedewszystkiem uprzedzali mnie, że z wyprawy mo„ej nic nie będzie, bo zbliża się pora deszczowa, która mi nie pozwoli wrócić do portu przez parę miesięcy, albo wogóle wcale i nigdy. A potem — bym pod żadnym pozorem nie rozstawał się z bronią i w żadnym wypadku nie dopuszczał lwa bliżej niż na siedem metrów, by móc uprzedzić strzałem jego skok. Również zapewniali mnie, że ani myśleć mogę o przejściu Sahary w lipcu, bo to wogóle jest niewykonalne. Otóż muszę powiedzieć, że wykonałem wszystko to, czem mnie tak straszono i wróciłem nawet nie zadrapany. I tego się najbardziej wstydzę. Może mi dopisywało szczęście, ale myślę też, że te wszystkie obawy doświadczonych myśliwych pochodzą często z niesprawdzonych opowiadań, albo i jakichś przesądów, nie z faktów.

W swoim czasie polowałem z nożem na rekiny i miałem wtedy parę ciężkich momentów, ale wyszedłem z nich cało. Raz na osiem metrów pod wodą zaatakowałem rekina, ale mi brakło tchu i gdy wynurzyłem się z głębiny, byłby mnie rekin dokończył, ale w tym momencie inny potwór tego samego mniej więcej gatunku, zwany „barrakuda" minął mnie i rzucił się na rekina. Tę scenę mam uwiecznioną na filmie, bo nie ruszam się bez operatora. Po nowe zdobycze do mojej kolekcji filmów sportowych pojechałem właśnie do Afryki — „fishing lions".

Rok temu, w styczniu, wyjechałem z New-Yorku do Mombassy, leżącej w kolonji Brytyjskiej Kenya, we wschodniej Afryce, a stamtąd do stolicy tej kolonji — Nairobi, gdzie stanąłem trzeciego kwietnia, obierając sobie tu kwaterę główną. Miałem z sobą nieustraszonego operatora filmowego Brandforda, a na mie„scu już poznałem się z miejscowym weteranem wielkich łowów, znakomitym strzelcem baronem Bror von Blixenem, którego zaangażowałem do towarzystwa na czas całej wyprawy.

Wziąłem ze sobą kilka mniejszych aparatów i jedną wielką, wspaniałą maszynę do zdjęć filmowych. Nająłem na wyprawę siedmiu murzynów, co najtęższych bywalców dżungli, nabyłem na miejscu jeden mocny samochód dla siebie, oczywiście limuzynę, chroniącą od wszelkiej niepogody, i drugi samochód, mocny a lekki, bez pudła, rodzaj niskiej platformy na bagaż. Za teren wyprawy wybrałem Tanganyakę.

Nie traciliśmy czasu i rankiem wyjechaliśmy na „połów". Spotkaliśmy wkrótce 6 sztuk lwów, które trzymały się razem, widocznie rodzina, stare i młode. Ale brakło nam przynęty. Więc odjechaliśmy parę mil na poszukiwanie zwierzyny. Po jakimś czasie ustrzeliłem antylopę, którą wnet poćwiartowaliśmy i ładną polędwiczkę przywiązaliśmy na długim sznurku do samochodu z tyłu. Powróciliśmy na odszukanie naszych lwów, a gdy znów spotkaliśmy się z rodziną, objechaliśmy ją, ciągnąc ćwiartkę antylopy.

Potem odwiązaliśmy sznurek i porzucili mięso, a sami stanęli o jakieś 15 metrów od przynęty. Za chwilę na antylopie siedziało sześć lwów, a mój operator filmował scenę najspoko„niej.

Jedna duża lwica była widocznie jednak bardziej ciekawa niż głodna. Odeszła więc od obiadu i zbliżyła się do nas. W pewnym momencie przysiadła na zadzie i obserwuje nas a my ją. Żaden z nas ani się poruszył. Naraz lwica zauważyła sznur długi, który luzem ciągnął się za samochodem, w tej chwili stojącym bez ruchu. Na końcu sznura był węzeł. Lwica chwyciła węzeł w zęby i podrzuciła go w górę, zupełnie jak mały kociak, gdy się bawi szpulką nici. Ale potem chwyciła znów sznur w zęby i zaczęła go ciągnąć ku sobie a ze sznurem i samochód. Ciągnęła tak w tył maszynę ze sześć — siedem metrów. Scena była wprost nieprawdopodobna.

Gdyśmy skończyli filmowanie, odjechaliśmy do namiotów, oczywiście bez żadnego strzału.

Całą noc nie zmrużyliśmy oka, paląc ognie bez przerwy. Naokoło krążyły lwy, przerywając rykiem martwą ciszę pustyni i ciągle to tu, to tam, widzieliśmy świecące w ciemni ich oczy. Ale noc przeszła bez żadnego incydentu.

Nazajutrz przed samym świtem wyjechaliśmy na regularne polowanie. Zabiłem piękną zebrę, którą znów poćwiartowaliśmy i przywiązaliśmy z tyłu do samochodu na długim sznurze.

Jechaliśmy brzegiem przestrzeni, zarośniętej bardzo wysoką trawą. — Wkrótce widzimy na horyzoncie piątkę lwów. Zaczynamy objeżdżać. Lwy czują zebrę i zachodzą nam na tyły. Zwalniamy. Potężny lew rzuca się na mięso. Stajemy. Lew rwąc mięso cofa nam samochód o parę stóp, za każdym chwytem. W pewnym momencie, gdy lew przywarł się do przywiązanej szynki zebry, puszczam wolniutko samochód naprzód, sznur się wypręża i zaczyna ciągnąć lwa, opierającego się całą siłą łapami. Gdy stajemy, lew nas cofa. I znów ruszamy.

Ta zabawa trwa jakiś czas, operator pracuje. Na przynęcie siedzi jeden lew, inny chce mu mięso wyrwać. Przyszła mi myśl, że w cyrku pogromcy uspakajają lwy, patrząc im prosto w oczy. Daję więc znak operatorowi, że schodzę z samochodu. Siedzimy właśnie na ciężarowym, bo tu jest aparat. Nie mam w ręku żadnej broni, ale schodzę i zbliżam się do lwa powoli na pięć metrów. Nie wiedziałem właściwie, poco tam idę. Szukam wzroku lwa i spotykam się z jego spojrzeniem. Był zły, walił ogonem o ziemię i mruczał wcale potężnie. Baron Blixen trzymał karabin przy oku i słyszę „ego spokojny głos: — „Stop, ani kroku dalej". — Ale ja robię jeszcze parę kroków naprzód, nie spuszczając wzroku z oczu lwa, który puszcza mięso, wstaje i ucieka w krzaki, a inne lwy za nim.

Cel mój — otrzymania wyjątkowych filmów — był właściwie dopięty. Gdy wróciliśmy do Nairobi, poznałem tam sławnego „filmowego myśliwca" Johnsona, który przyznał, że takiego filmu ani widział nigdy, ani nie przypuszczał, by można było coś podobnego osiągnąć.

Wracałem przez Saharę.

Przedemną Saharę w lipcu przebył jeden tylko Francuz. W pewnym punkcie koło Tannesruft o mało nie przepłaciliśmy życiem mojego pomysłu. Zaznaczam, że drogę tę przebyliśmy w lekkim samochodzie turystycznym, we dwóch, z baronem tylko, bez żadnej obsługi. Ugrzęśliśmy w morzu piachu tak, że żadną miarą nie można było ruszyć. Podłożyliśmy pod koła co można było z ubrania, wszystko na nic. Upał był taki, że woda w chłodniach zagotowała się, a samych naczyń nie można się było dotknąć. Sytuacja była beznadziejna. Naraz przychodzi mi doskonała myśl. Odrywam blaszane pokrywy motoru i podkładam je pod koła.

Wyjechaliśmy.

Z samochodami nie mieliśmy żadnego kłopotu. Sam zawsze prowadziłem maszynę po nieprawdopodobnych drogach a właściwie bezdrożach. O ile trzeba było coś zreparować, dawałem sobie rady.

Za kilka miesięcy mam zamiar wrócić tam raz jeszcze. Bardzo mi się to podobało.

Borya.

Kronika filmowa.

„Świat naprzód", obraz najnowszej produkcji amerykańskiej, w wersji, przeznaczonej dla Francji. Treść tego filmu opiera się podobnie jak „Kawalkada" na historji trzech pokoleń. Najważniejszym momentem, nad którym wysiliła się reżyserja, aby przewyższyć wszystkie dotychczasowe filmy, są zdjęcia wojenne. Film został stworzony według scenarjusza Reginalda Berkeley'a. Role główne objęło kilku znakomitych artystów filmowych, jak Luiza Dressler, Reginald Denny i aktorzy rewjowi, gwiazdy Broadway'u, którzy zadebiutują poraz pierwszy na ekranie. Wytwórnia zapowiada, że film ten będzie jeszcze większem wydarzeniem, niż słynne „Krzyże drewniane".

„Peer-Gynt" zostanie sfilmowany. Jak donoszą z Berlina, znany artysta i reżyser berlińskich teatrów Gustaw Gründgens, który przez szereg miesięcy przebywał na urlopie i zupełnie stronił od pracy filmowej, powrócił znowu do Berlina. Jego najbliższym projektem jest sfilmowanie Ibsenowskiego „Peer-Gynta".

„Scottland Yard" na filmie. Londyńska centrala służby śledczej stanie się niebawem tematem nowego filmu kryminalnego w Hollywood. Reżyser, któremu powierzono kierownictwo tego filmu, popełnił zabawną pomyłkę. Ogłosił bowiem, że do roli detektywów poszukuje artystów, mówiących szkockim akcentem. Na pytanie, dlaczego właśnie upiera się przy szkockim djalekcie, odpowiedział, że bohaterem scenarjusza jest przecież detektyw z Scotland-Yard'u. Był bowiem przekonany, że wszyscy detektywi pracujący w tej instytucji, muszą być Szkotami.

Co piszą o nas inni? W jednym z ostatnich numerów francuskiego pisma „Ciné Monde" zamieszczono zestawienie pracy najważniejszych ośrodków filmowych na świecie. Wynikałoby z tego, że najwięcej filmów produkuje Ameryka, potem Francja, Niemcy, Włochy itd. Kronika ta wymienia także szczegółowo Holandję, Portugalję, Argentynę i w końcu Polskę. Oto, co piszą o nas: W Polsce przystąpiono do realizacji komedij rysunkowej „Fausta Twardowskiego". To wszystko, co wiedzą o nas.

„Ta, którą kocham". Niezwykłem powodzeniem cieszy się na ekranach Paryża wytworna komedja francuska p. t. „Ta, którą kocham". Komedja ta, wystawiona z olbrzymim przepychem dekoracyjnym, bawi publiczność typową historją o muzyku, który, chcąc zbadać prawdziwość uczuć swojej wybranki, przebrał się za lokaja i przyjął służbę w jej domu. Rolę sentymentalnego lokaja-muzyka kreuje Jean Murat. Jego partnerką jest p. Edwige Feuillere.

Katherine Hepburn lotniczką. Niezwykła ta artystka, która w pierwszych rolach pozostawała wybitnie pod wpływem Grety Garbo, stwarza pierwszą oryginalną kreację w filmie „Krzysztof Strong". Lotniczka Cynthia kocha się w Krzysztofie, człowieku bogatym, o nieposzlakowanym charakterze. Oboje starają się powściągnąć budzącą się namiętność, wkońcu jednak ulegają jej i padają sobie w objęcia. Miłość ta nie przynosi im szczęścia a dramat kończy się samobójstwem Cynthii, która spada ze swym aparatem na ziemię. Film obfituje w ciekawe zdjęcia lotnicze. Żywa akcja, pełna nerwu dramatycznego i gra artystów trzymają widza przez cały czas w napięciu.

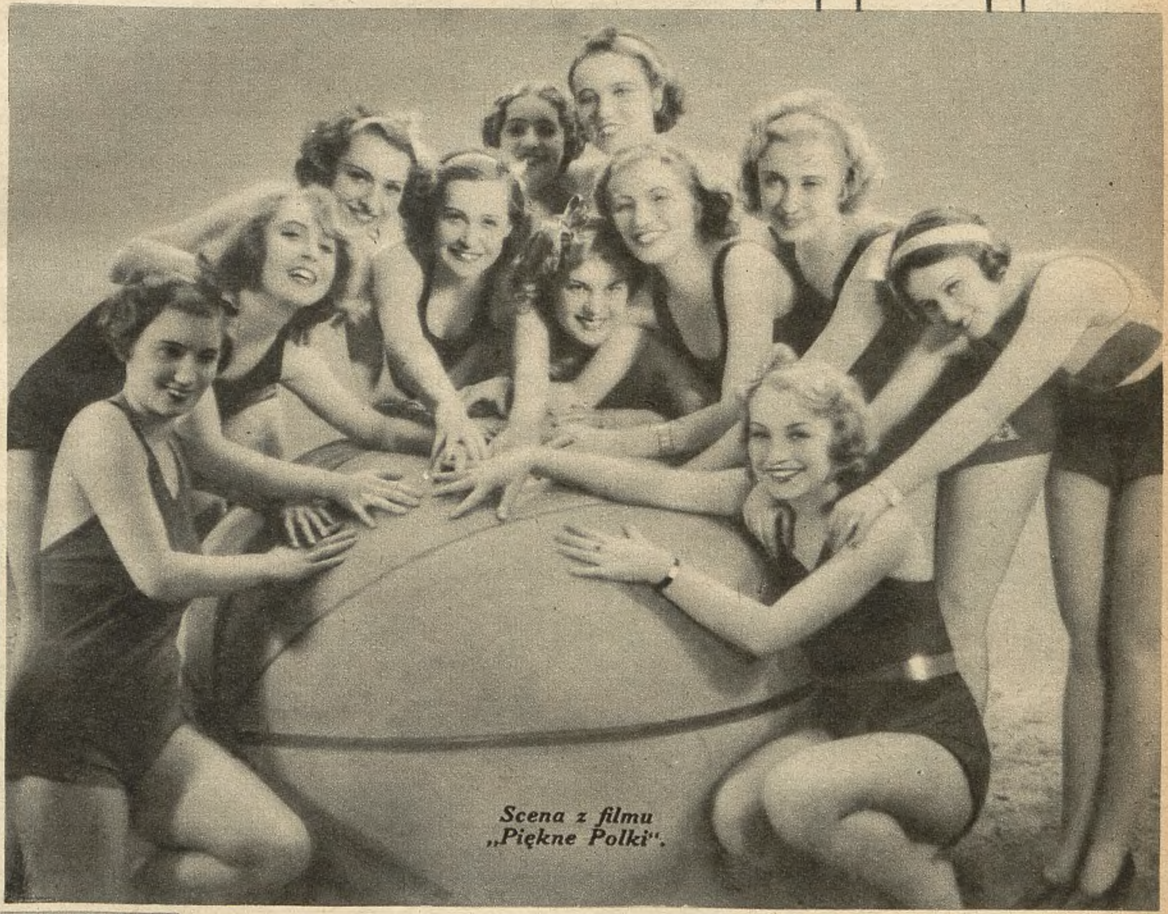
POLKI SŁYNĄ...

Polki słyną, oczywiście z urody. Tak przynajmniej utrzymują literaci i malarze i to nietylko polscy, ale wszyscy ci, którzy kiedykolwiek z Polkami się zetknęli. Każdy cudzoziemiec, odwiedzający Polskę, wyraża swój podziw dla niezwykłej urody naszych pań i stwierdza, że nigdzie na świecie nie można spotkać tyle pięknych kobiet, co w Polsce. Gdyby się jednak zapytano, jak właściwie wygląda typowa piękność polska, byłby każdy z wielbicieli w niemałym kłopocie. Niema bowiem chyba nic trudniejszego do sprecyzowania. O Hiszpankach wiadomo, że są brunetkami, smukłe, czarne, o ognistych oczach. Tego można się dowiedzieć prawie z każdego elementarza. Ale i w tym wypadku los spłatał figla w ubiegłym roku na konkursie piękności w Hiszpanji, gdzie królową została obrana... o dziwo! blondynka. Północne Włochy z Wenecją na czele szczycą się urodą miedziano-włosych tycjanowskich kobiet, południowe smagłą cerą i kruczemi włosami smukłych Neapolitanek. Wiemy dobrze, że Szwedki są blondynkami, że Francuzka, to jest takie frywolne drobne stworzenie z zadartym noskiem i ciemną czuprynką, a Niemki i Holenderki ciężkie, powiedzmy, monumentalne w postawie, płowowłose i zażywne.

Poeci, którzy podobno mają niezły gust, przekazali nam kilka klasycznych wzorów, według których powinno się oceniać urodę Polki. Mickiewicz stworzył uroczą postać Zosi z „Pana Tadeusza", niewinne, złotowłose dziewczątko, krzątające się wśród gęsi i indyków, Sienkiewicz rasową Oleńkę z „Potopu" o białej, przeźroczystej cerze. Niemniej jednak zawadjacka Basia z „Pana Wołodyjowskiego", czy sentymentalna Marynia Połaniecka, mają niemało zwolenników. Wiadomo również, że do najpiękniejszych kobiet w całej Polsce należą Lwowianki, Warszawianki znów słyną ze zgrabnych nóżek i elegancji, a Krakowianki z werwy i temperamentu. Trzeba jeszcze dodać, że mają one włosy o wszystkich odcieniach i są małe, średnie, wysokie, szczupłe, w miarę i grube, a wszystkie przedziwnie pociągające i urodziwe. Doprawdy trudno tu rozstrzygnąć, która z nich najpiękniejsza i która ma reprezentować prawdziwie polską rasę.

Próbę w kierunku ustalenia urody Polek podjęła wytwórnia warszawska „Film Polski", która nakręciła krótkometrażowy trzystumetrowy film, w którym występują Polki ze wszystkich stron Polski. Prym w zespole tych pięknych gwiazdek filmowych dzierżą uczenice szkół baletowych i wogóle adeptki sztuki tanecznej. Będziemy więc podziwiać Irenę Krzemieniecką jako Kresowiankę, Elżunię Godlewską jako Hucułkę i Marysię Małżewską jako Kaszubkę. Franka Manówna i Hanka Łańska grają damy salonowe, zaś Halszka Radojewska Ślązaczkę, Hlinka Zadejkówna Kresowiankę, Stenia Stanisławska Krakowiankę, a Michalina Michalska Łowiczankę. Te ostatnie występują stale w balecie opery warszawskiej. Podhale reprezentuje Marysia Sulikowska, a Podole Lidja Użycka. W kole tych piękności zobaczymy jeszcze wytworną Marysię Żabkiewiczównę, Lulu Dorey, jednem słowem ładny zespół ładnych dziewcząt.

Akcja filmu rozgrywa się zarówno na wsi, jak i w mieście i daje popis dla dekoracyjnego tańca ludowego w barwnych strojach i wykwintu wielkomiejskich salonów czy dancingów. Publiczność, oglądająca ten film, będzie mogła w tym zbiorowym plebiscycie wybrać z pośród tych księżniczek polskiej urody prawdziwą królowę. Nie będzie to jednak, jak już zaznaczyłem, łatwe zadanie. Uroda bowiem Polek jest bowiem tak bogata i różnorodna, jak nigdzie na świecie. I w tem zdaje się leży tajemnica i powodzenie Polek. **Ap.**



Scena z filmu „Piękne Polki".



Urocza blondynka Elżunia Godlewska występuje we filmie „Piękne Polki".

FEDORA

Paryż, rok 1822...

Po nierównym bruku bulwarów mkną lekkie powoziki i huczą ogromne koła ciężkich dyliżansów. Nad Sekwaną przechadzają się panie, dźwigając za sobą tiurniury i zamiatają kurz długiemi ogonami sukien. Towarzyszą im panowie w wysokich, lśniących cylindrach. Panowie mają baczki i piękne wąsy. Rozprawiają o sztuce i o teatrze. Teatr jest modny i modna jest boska Sara, bożyszcze Komedji Francuskiej. Ale Sara Bernhadrt, mimo swego olbrzymiego powodzenia, ma materjalne kłopoty. Nic dziwnego: prowadzi wystawne życie i mieszka w wspaniałych apartamentach. Rzuca pieniądzmi na prawo i na lewo. Nadchodzą dla niej ciężkie dni. Sara notuje w swoim pamiętniku: „Mam mnóstwo rachunków do płacenia. Jestem winna 100.000 franków, a przy tem wszystkiem mam zamiar wyjść zamąż. Zwrócił się do mnie dyrektor teatru Vodevil i chce podpisać kontrakt... Musiałam się zgodzić“. Jako jedyny warunek współpracy z teatrem Vodevil Sara żąda, aby sztukę, w której będzie grała, pisał Wiktor Sardou. „Sardou jest jedynym człowiekiem, który najlepiej rozumie współczesnych i potrafi wywołać wrażenie i zaciekawienie wbrew ich zblazowanym zmysłom i przytępionej ciekawości“, mówi Sara Bernhardt. I Sardou pisze sztukę. Sztuka ta osiąga niebywały triumf. Jest nią „Fedora“. Na powodzenie tej sztuki złożyły się prócz wielkich nazwisk Sary Bernhardt i Wiktoryna Sardou jeszcze szereg innych przyczyn. Przedewszystkiem moda na Rosję. Francuzi mieli zawsze sentyment dla egzotyki rosyjskiej. dla wspaniałego dworu carskiego i błyszczących mundurów gwardji. Równocześnie zaczęto się interesować sprawą nihilistów, którzy za swoją główną siedzibę i miejsce ucieczki obrali sobie Francję. Sztuka więc dotykała najżywszych problemów, omawianych w Paryżu, była poniekąd reportażem współczesności. Była poza tem niezwykle sensacyjna, pełna tajemniczych zawikłań. Akcja rozpoczyna się na dworze cara w Petersburgu. Fedora jest zaręczona z młodym księciem Yariszkinem, synem szefa carskiej policji. Młody książę otrzymuje tajemniczy list, wzywający go na spotkanie na dalekich przedmieściach Petersburga. W kilka godzin później znajdują księcia nieżywego przed bramą domu. Dwie kule rewolwerowe utkwiły mu w piersi. Fedora postanawia pomścić śmierć narzeczonego. Sama bierze udział w pościgu za nihilistami, którzy mają być sprawcami

Ipanowa. Między młodymi nawiązuje się nić sympatji. Tutaj nadchodzi kulminacyjny moment tragedji. Fedora dowiaduje się, że mordercą jej narzeczonego jest właśnie Ipanow, nihilista. Wysyła więc list do Rosji z poleceniem aresztowania całej jego rodziny. Sama oczekuje spotkania, spragniona zemsty. W trakcie rozmowy jednak okazuje się, że książę Yariszkin był łotrem, a Ipanow zabił go, chcąc uwolnić Fedorę z jego rąk. Fedora pada w objęcia ukochanego. W chwilę potem przychodzi wiadomość o aresztowaniu rodziny Ipanowa. Ipanow odchodzi. Fedora popełnia samobójstwo.

Całą tę dość pretensjonalnie romantyczną historję ożywiała genjalna gra Sary. W Polsce kreowała tę rolę Helena Modrzejewska. Obecnie przerobiono sztukę Sardou na film. W poszukiwaniu człowieka, znającego dobrze stosunki na dworze carskim, zwrócono się do Aleksandra Skrjabina, byłego oficera gwardji cesarskiej. On też został doradcą filmu i czuwał nad opracowaniem szczegółów. Wskazał na licznych swoich kolegów z gwardji, pracujących obecnie w Paryżu jako szoferzy taksówek, lub grajkowie na dancingu i polecił ich zaangażować. Syn jego gra w filmie rolę chłopca Mittji. Główną rolę Fedory objęła piękna artystka francuska Marie Bell, księcia Yariszkina gra Henryk Bosc, a Borysa Ipanowa Ernest Ferny. Podobno mimo troskliwości w odtworzeniu szczegółów, film obfituje w liczne anachronizmy, a dwór cesarski tak, jak go zwykle przedstawiają sobie Francuzi, jest dosyć fantastyczny.

Runęła carska Rosja. Potrzeba było niewielu tylko lat, ażeby o tych czasach pozostało w Europie mgliste i dosyć niewyraźne wspomnienie. Niemniej temat jest modny, filmy rosyjskie idą. Wskrzeszenie więc Fedory w filmie osiągnie niewąpliwie powodzene. Trzeba jednak pamiętać, jak wielką odpowiedzialność bierze na siebie artystka, która ma odtworzyć rolę, pisaną wyłącznie dla Sary Bernhardt i dostosowaną do warunków jej bogatego talentu. Rolę, która przyniosła jej jeden z największych triumfów na scenie.

Wytwórnia, rozumiejąc tę trudność, poczyniła niemałe zmiany w scenarjuszu i w sztuce, w której dominowała jedna tylko rola, dała popis także innym aktorom, wysuwając na pierwszy plan i uwypuklając małe dotychczas epizody. Tę nową interpretację narzucił już sam rodzaj sztuki











SCENY Z FILMU „FEDORA“.



Katy v. Nagy, bohaterka szeregu filmów znanych dobrze polskiej publiczności, przesyła pozdrowienia „Światowidowi"

ZWIERZENIA KATY v. NAGY.

(Korespondencja własna „Światowida")

Berlin, w kwietniu.

Po wyjeździe Liljany Harvey z Europy do Ameryki, miejsce jej w filmie zajęła Katarzyna von Nagy. Należy ona obecnie do szeregu najwybitniejszych aktorek europejskich.

Moje kilkudniowe starania celem uzyskania rozmowy z Kathe von Nagy urzeczywistniły się. — Siedzę naprzeciwko niej w kawiarni podmiejskiej w Grunewaldzie.

— Jest pani taksamo piękna, jak dawniej...

— A ja nigdy nie wiem, kiedy pan żartuje, a kiedy mówi serjo. Może pan doprowadzić człowieka do pasji... Czy pan to robi umyślnie, czy pan ma już taką naturę?

— Tajemnica urzędowa, proszę pani... Zresztą przyznam się pani do tego po spełnieniu mej „powinności" zawodowej, dobrze? Tym razem chciałem zrobić wywiad dla „Światowida".

— ....chciałby pan napisać artykuł i po to pan się ze mną spotkał, czy nie?

— Widzi pani, chciałbym wszystko dokładnie o pani napisać, bo bardzo panią u nas lubią...

— A więc: początkowo zamierzałam zostać malarką, albo pisarką, ale po krótkim namyśle wstąpiłam do szkoły filmowej w Budapeszcie, po ukończeniu której wyjechałam do Berlina. Przeszło rok próbowałam skłonić reżyserów tutejszych, żeby mnie zaangażowali, aż w końcu dostałam mały epizodzik w filmie „Männer vor der Ehe". — Później nakręciłam jeszcze parę filmów, ale grałam już role poważniejsze. W filmie dźwiękowym zadebiutowałam jako partnerka Fritza Kortnera w „Der Andere". Największy sukces odniosłam w filmie reżyserji Joe Maya „Majestat miłości", na podstawie którego zostałam zaangażowana do „Ufy". No i tutaj nakręciłam cały szereg obrazów, które pan widział, jak „Ronny", „Piękna przygoda" i t. d. Ostatnio grałam główną rolę w filmie „Uciekinierzy". Treścią tego pierwszorzędnego filmu są losy emigrantów w Chinach (o czem swego czasu donosił „Światowid", przyp. korespondenta). Uważam, że była to moja najlepsza kreacja. Zdjęcia plenerowe nakręcaliśmy w Chinach. Pobyt w Chinach zostanie wiecznie w mej pamięci i będzie zawsze żywy...

— Jaka jest ostatnia pani rola?

— Nagrywam razem z Willy Fritschem do filmu reżyserji Schünzla. Film nazywa się „Córki Ekscelencji" (Die Töchter Ihrer Excellenz). Jest to lekka wiedeńska historyjka, w której gram sprzedawczynię w trafice. Więcej panu nie powiem — tajemnica...

— Skoro tak, nie będę nalegał. Poproszę panią tylko o jakąś specjalnie ładną fotografję dla naszych Czytelników.

— Dobrze, poślę panu pocztą, jutro.

I aczkolwiek wykaligrafowałem najwyraźniej jak mogłem na kartce papieru słowo „ŚWIATOWID" — do dedykacji zagradł się błąd: brakuje pierwszego „W"...

Reld.

W CZASIE PRÓBY.



W godzinach przedpołudniowych, kiedy bramy teatrów, czy atelier filmowych są zamknięte dla publiczności, wre nieustająca praca w salach prób i na scenie. Przygotowania do filmu szczególnie o pokładzie muzycznym trwają bardzo długo. Sceny baletowe powtarza się nieskończoną ilość razy, ażeby uzgodnić rytm tańca, w którym biorą udział niejednokrotnie setki girlsów. Girlsy wykonują ćwiczenia miarowo i rytmicznie, jak żołnierze na mustrze. Dzwonek... przerwa. Teraz mogą spokojnie usiąść i obserwować następną partję koleżanek, które wybiegły na estradę. Chociaż dla ogółu jest wstęp za kulisy „najsurowiej wzbroniony", znajdzie się zawsze kilku koneserów, t. zw. przyjaciół sztuki, którzy przedrą się przez „groty i miecze" groźnych cerberów wytwórni, aby dostać się do sali prób i poflirtować z pięknemi girlsami. Zdjęcie nasze przedstawia właśnie taki flirt podczas próby.

DOM — KRÓLESTWO PANI



Wszystko z włóczki.

A więc: kiedyś były włóczkowe patarafki, krzyżykowym ściegiem mozolnie na kanwie haftowano róże — i babunia, która na drutach robiła pończochy.

A teraz — na pięknie nakrytym stoliczku leżą lekkie serwetki z powiewnej organdyny, na nich śmiesznie migają kolorową włóczką rysowane fantastyczne kwiatki, na tapczanie barwną plamą znaczą się miękie przytulne poduszki, a druty szybko migają w rękach wnuczki i babuni, które przed chwilą razem grały w bridża... lub w tenisa.

Kilkanaście lat temu przywiózł ktoś z Anglji najnowszej mody wełnianą kamizelkę o dziwnej nazwie „sweater", co znaczy po angielsku „pocący się", czyli — ciepły. Kamizelki były nietylko ciepłe, ale i ładne, wygodne, praktyczne; dziś — polski wyraz „swetr" zrozumiały jest dla każdego na najdalszej prowincji, a wełniany sweter stał się konieczną składową częścią każdej garderoby.

A potem nagle rewelacja: „jumper" — od czasownika, który w języku angielskim oznacza... skakanie. Bo też do tych nowomodnych bluzek, niezapinających się z przodu ani z tyłu — trzeba było wchodzić głową naprzód. Jumpry utorowały drogę nowej modzie: sukien, wkładanych przez głowę, a same na dobre zaklimatyzowały się na półkach naszych szaf.

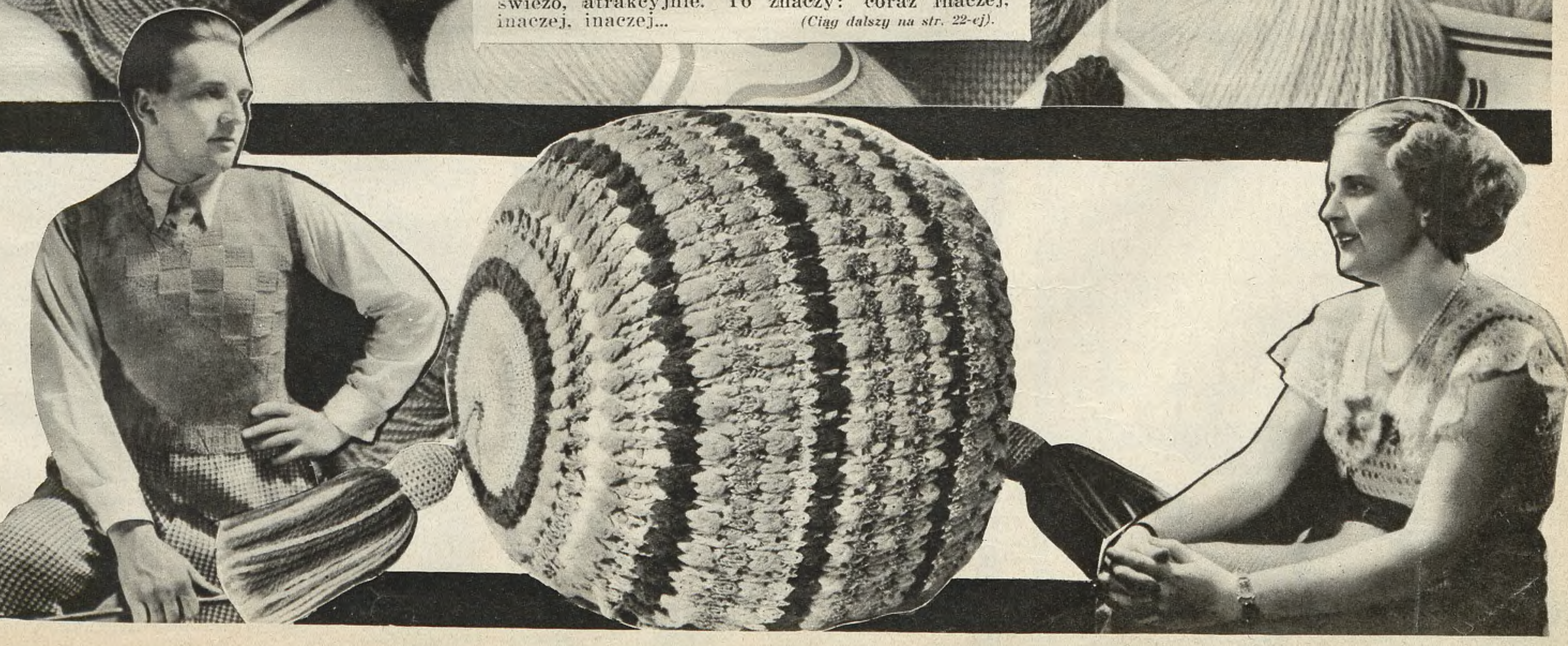
I znów nieomylny smak angielski wymyślił „pull-overy", t. j. coś, wkładanego na wierzch. A więc na bluzkach i koszulach sportowych nosiłyśmy i nosimy wełniane swetry i jumpry o zmienionej nazwie i do nowego użytku przystosowanej formie.

Od paru lat moda stała się wymagającą dla swetrów, jumprów, pullowerów, bluzeczek, żakiecików, kamizelek i towarzyszących im szalików, czapek, rękawiczek, a nawet sportowych skarpetek: koniecznie muszą być ręcznej roboty, no i... jest bardzo pożądane, jest bardzo dobrze przez Panią Modę widziane, aby były robione własnoręcznie.

Pani Moda ma rację jak zwykle. Mechanizacja, masowa produkcja, wyroby seryjne — tyle tego mamy teraz — i na każdym kroku. Nosimy stadaryzowane białe płaszcze płócienne, nosimy jednakowe na całej kuli ziemskiej baskijskie berety, nosimy „angielskie bluzki" o niezmiennym kroju — i niemal zawsze jednakowe „sportowe" kostjumy:

A przecież chcemy wyglądać — każda inaczej, każda na swój sposób interesująco, każda w stroju, przystosowanym do swego typu, swej urody, własnych swoich możliwości. A także: inaczej dziś jak wczoraj; inaczej rano przy pracy, jak na popołudniowej wizycie; inaczej w mieście, inaczej na zamiejskiej wycieczce. Słowem, potrzeba nam wielu tualet, wielu akcesoryj. Nie chcemy ich się wyrzec: mamy prawo wyglądać ładnie, młodo, świeżo, atrakcyjnie. To znaczy: coraz inaczej, inaczej, inaczej...

(Ciąg dalszy na str. 22-ej).





WSZYSTKO Z WŁÓCZKI.

Wśród różnokolorowych włóczek entuzjastki przemiłych robótek oddają się z zapałem pracy, tworząc ze „słupków i oczek“ prawdziwe poematy.

(Ciąg dalszy ze str. 21-ej).

Wprawdzie kostjum, płaszcz jest tylko jeden — ale z dnia na dzień, a nawet o różnych porach dnia — wygląd swój zmienić może całkowicie. W chłodny ranek kwietniowy widoczna jest z pod żakietu ciepła kamizelka, zapięta pod samą szyję. A tego samego dnia na popołudniowym five o'clocku śliczna bluzeczka z krótkiemi rękawami — i koniecznie — według panującej mody — ciemniejsza od spódniczki — wygląda bardzo elegancko. W południowem słońcu wesoło migocze jaskrawy jumperek; bluzka w tonie pastelowym nadaje sylwetce ton bardziej wytworny. Do skromnej sukienki mieć możemy całe mnóstwo szalików: każdy inny, coraz ładniej różnobarwny. A zamiast beretów: wielka kolekcja czapeczek — jedynych i niepowtarzalnych, bo zrobionych dla tej właśnie główki, dla tej właśnie twarzy.

Ciągle pragniemy zmiany, ruchu i nowości. Nowe efekty, nowe kolory, nowe zestawienia. Suknie wyprawowe naszych prababek leżały w skrzyniach po lat kilkadziesiąt. Nasze „paradne“ szaty trwają jeden — dwa sezony. A najlepiej czujemy się w ubraniu miłem, zmiennem, lecz codziennem.

I dlatego ulubienicą naszą jest włóczka.





Lekka bluzeczka, beret, torebka i płaszczyk letni — wszystko zrobione ręcznie z włóczki.

HUMOR.

Odpowiednia miara.



— Ten prosiak ładnie się rozwija od miesiąca urósł o dwie kiełbaski..

„Pan stworzenia“.



— Dokąd to szanowny pan wyjeżdża?
— Jeszcze nie wiem, żona właśni kupuje bilety...

Na gorącym uczynku.



— Jak pan śmie całować moją córkę...?!

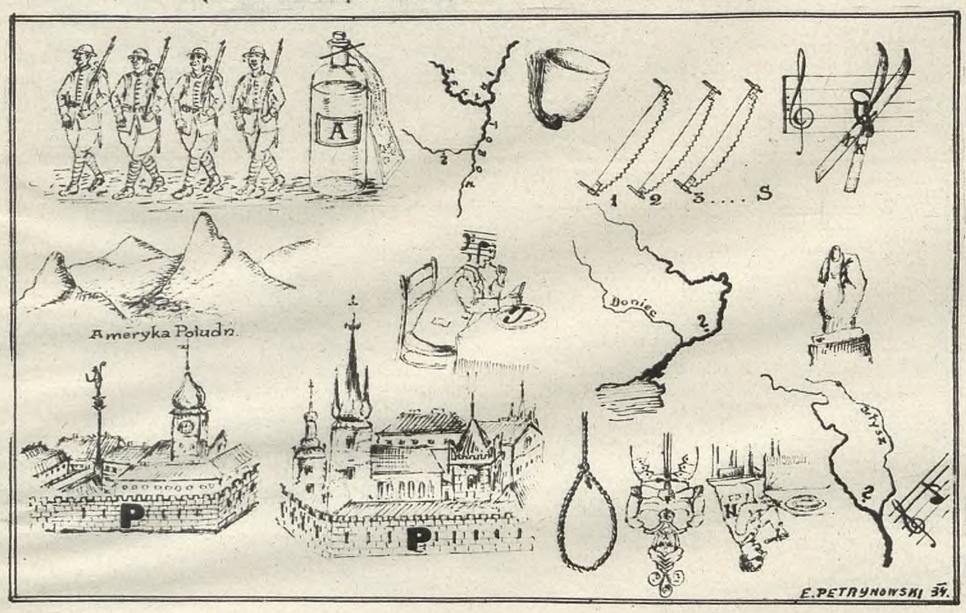
Wywiadówka.



— Prawda, że mój synek ma bardzo bogatą wyobraźnię?
— Owszem, owszem, zwłaszcza u historji i geografji...

REBUS.

(Ul. E. Petrynowski. Klub Szar. Warszawa).



SZARADA-SONET.

(Ul. inż. J. Modrzejewski — Warsz. Kl. Szar.).

Rozprysły się lodowe wierzeje radośnie —
Przez **raz-trzecie** sił skrytych pokonane wieczne
I wpuściły zwycięskie promienie słoneczne —
Do których **czwarte-piąte** tęskni, śniąc o wiośnie.
Już śpiewaków skrzydlatych chór z pieśniami czeka,
Pod kwitnącem brzemieniem **drugie** się już sady.
Łąk pachnących kobierca błyszczy szmaragd blady
I **pierwsze-drugie-piąte** serce jest człowieka...
Bo jednak brak mu czego, choć świat życiem płonie,
Gdy go wiosna ujęła w swe pieszczące dłonie,
Dwa-piąte blask ku sobie z niebiosów roztoczy...
Czemu **czwarte-trzy** smutne? — Wśród kwiatów przepychu
Próżno o całowanym marzy warg kielichu,
Żadne doń się nie śmieją ukochane oczy...

Za rozwiązanie powyższych dwu zadań, redakcja „Światowida“ przeznacza

t r z y _ n a g r o d y.

Pierwsza zł. 20.—, druga zł. 10.—, trzecia prenumerata miesięczna „Światowida“.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 21 kwietnia 1934 wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 13.

SZARADA: Tragiczny kres życia popularnego monarchy.

REBUS: Wiosenne podmuchy.

Trafne rozwiązanie zagadek z Nr. 13 nadesłali:

J. Maziarz, Ozorków; J. N. Maziarz, Ozorków; J. Jurczyk, Krynica; W. Sobecka, Poznań; M. Kluf, Piotrków Tryb.; Justyna Krasnodębska, Seroczyn siedl.; „Bebe“, Stołpce; Antoni Klimek, Kraków; Józef Pasieka, Kraków; Janina Kuźnikówna, Kraków; Aleksandra Beśkowa, Stołpce; plut. Stan. Beśka, Stołpce; Lona Miłowska, Poznań; Edmund Miłowski, Poznań; Józef Stojko, Krynica; Zdzisław Pałuszyński, Pabjanice; Zofja Makarewiczowa, Włodawa; kpt. Alojzy Majerowicz, Rzeszów; Jan Manolecki, Olszanica; W. Weisło, Kraków; H. St. Lisowscy, Piotrków Kuj.; Józef Kaszowski, Bogucice; Marja Hirschenfeldowa, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; Adam Borowicz, Poznań; Stanisław Klapczyński, Poznań; Stefan Siodłak, Rudawa; Janina Strójwąsowa, Anin; Ewa Brzozowska, Warszawa; Kazimierz Kornaszewski, Inowrocław; „Wit“; ks. Juljan Ludomir Artilewicz, Skotniki; Adolf Klohes, Kraków; „Ha-Jot“, Łódź; Bol. Kurowski, Warszawa; Walentyna Zaleska, Ozorków; Wład. Wojtczakowa, Ozorków; Włodz. Żukowski, Kraków; Stan. Musiał, Długoszyn; Eug. Petrynowski, Kutno; „Grenicheux“, Warszawa; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Jurek Zapiór, Kraków; Karol Jędrys, Olszanica; Wład. Jędrys, Kraków; Wład. Wójcik, Bronowice Wielkie; Józef Stojko, Krynica; T. Staszewski, Pabjanice; **„Maryśka z Pohulanki“ zł. 20.—**; Bogusia Mendrałówna, Rzeszów; Eleonora Sierszeńska, Lubawa; Wł. Jankowski, Żywiec; Hanka Kwintówna, Kraków; Z. Tietz, Warszawa; St. Effert, Poznań; An. Kubiczówna, Poznań; J. Świerczyńska, Lwów; Wapińska, Warszawa; Z. Kopaczówna, Marcinkowo; St. Kornaszewski, Inowrocław; Narcyza Wachowska, Poznań; Jerzy Sass, Krzeszowice; Józef Kremer, Zaleszczyki; Stefan Mittie, Radom; Zygmunt Łebek, Miechów; Anna Murmelsteinówna, Lwów. A Loeglerówna, Lwów; Wiktor Kwinta, Nowe Rakowice; Józefa Kitlówna, Podgórze; Stanisław Król, Kraków; Stenia Nieczkulanka, Kraków; Hania Nieckuła, Kraków; „Niezapominajka“, „Tuberoza“; Teodozja Talarowa, Rożniatów; Zofja Żukowa, Jędrzejów; Kazimierz Chendyński, Nowa Wieś Śląska; Jan Obtułowicz, Żywiec; Wanda Zaleska, Warszawa; Marja Rzemyszkiewiczowa, Rydzyna; Janusz Pawlik, Toruń; Lili Słosecka, Inowrocław; Józef Kudyk, Kraków; **Aleksander Boroń, Łódź (zł. 10)**; Lola Dąbkówna, Kraków; Kazimiera Figurowa, Kraków, Jerzy Bielesz, Kraków; Aleksander Cwynar, Kraków; Kazimierz Kochmański, Kraków; Czytelnia T. S. L., Węgierska Górka; Karol Suchanek, Węgierska Górka; Władysława Głowacka, Warszawa; Tadeusz Sarnowicz, Kraków; Józef Drzewiński, Kraków; Dorota Herbstmanówna, Warszawa; Lucyna Zielińska, Warszawa; Z. Słowikowski, Warszawa, Mr. Marjan Kurica, Lwów; Wacław Tyblewski, Poznań; Juljan Gąsior, Żywiec; Irena Senze, Żychlin; Aleksy Wachowski, Nowemiasto; Zb. Block, Poznań; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Marja Strubel, Warszawa; F. Wład. Kowalski, Warszawa; Zofja Lasocka, Warszawa; Iga Papiewska, Pabjanice; Stefan Kluska, Rzeszów; Stefan Zelazowski, Busko; **Ludwik Iwanowski, Kutno**; prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31. V. 1934; Halina Mikinowa, Poznań; Marja Baworowska; A. Świtkowska, Lwów; Stan. Kaczkowski, Łęczyca; JanBadura,Szopienice; T. Sobecki, Poznań; B. Ramułtowa, Jeżów; Józef Modrzejeweski, Lublin; P. Kaniak, Lwów; J. St. Suliński, Kowel; Gerard Huttner, Szamotuły; Franc. Probstowa, Borysław; Marja Wolska, Lublin; J. Kuczmierczyk, Mysłowice; Jan Szczawiński, Kraków; N. Kierska, Łuków; Roman Filarski, Chełmno; Cz. Kozłowski, Warszawa; Kaz. Marcinkowski, Zagnańsk; Miecz. Marcinkowski, Mirachowo; Marysia Janecka, Lwów; L. Pogoda, Jaworzno; Franc. Pietrzyk, Jaworzno; dr. H. Opielińska, Środa; Marjan Taras, Stryj; Karol Korsak, Chełmno; Franc. Izdebski, Zagórz.

Nagrody otrzymali pp. „Maryśka z Pohulanki“ (zł. 20.— prosimy uprzejmie o bliższy adres), Aleksander Boroń, Łódź (zł. 10.—); Ludwik Iwanowski, Kutno (prenumerata miesięczna „Światowida“ od 1—31. V. 1934).

Nagrody pieniężne, Redakcja „Światowida“ prześle niebawem.

SPIS SCENARJUSZÓW
NADESŁANYCH NA KONKURS FILMOWY DO DNIA 5. IV. br. WŁĄCZNIE.

(Ciąg dalszy).

147. Lobito (Angola) „Gin“ — 148. Lublin „Vici“ — 149. Łuniniec „961012“ — 150. „Panta Rej“ — 151. Wilno „C. 14“ — 152. Warszawa „Fryzolok“ — 153. Nowa Wieś k. Król. Huty „Jer-Ka“ — 154. Kraków „Wacek“ — 155. „Nosorożec z nad Wisły“ — 156. Warszawa „Osibi“ — 157. Mrozy „Alfa“ — 158. Warszawa „Uśmiechnij się“ — 159. Opatów Kiel. „Z“ — 160. Warszawa „Tatadaraka“ — 161. Jasło „Syrena“ — 162. „B. R. 16873“ — 163 Tarnów „Ignis“ — 164. Warszawa „Societe“ — 165. Warszawa „Crosby“ — 166. Warszawa „Rapid“ — 167. „K. M. i Ska“ — 168. Baranowicze „Nari“ — 169. Rzeszów „Om Mani Padme Hum“ — 170. „Młody autor X“.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

E. BOHD., GDYNIA. Scenarjusz może być przeróbką powieści, o ile jednak prawa autorskie danej powieści nie wygasły jeszcze, należy uzyskać upoważnienie od autora.

„MIŁOŚĆ ŻYDÓWKI“. Otrzymaliśmy scenarjusz bez koperty oznaczonej na zewnątrz godłem, a wewnątrz zawierającej imię, nazwisko i adres autora (patrz „Warunki Konkursu“ — pkt. 2-go). Prosimy dosłać.

JÓZEF SKIB., ZIMNA WODA. Udźwiękowanie filmu mówionego należy do wytwórni. Natomiast muzyki do filmu winien dostarczyć przedewszystkiem autor, jakkolwiek w pewnych wypadkach może to uczynić także i wytwórnia.

ANNA CHRZANOWSKA, LWÓW. Proponujemy przejrzeć w oddziele lwowskim „Ilustrowanego Kuryera Codziennego“ (Kopernika . 9.) numer 3-ci „Światowida“ z bieżącego roku, zawierający wskazówki jak należy pisać scenarjusz.

MŁODY AUTOR X. WARSZAWA. Autor nadsyłający większą ilość scenarjuszy, winien do każdego scenarjusza obrać odmienne godło. Przyjmujemy „Cień dziecka“ pod godłem „Młody autor X“. Dla reszty prosimy o inne godła.

SWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 150-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowie 404.200 — w Warszawie 140.725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus“) — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus“), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Prenumerata kwartalna zł. 6.50. Zagranicą zł. 9.50.
Prenumerata miesięczna zł. 2.20. Zagranicą zł. 3.20.
Wydawca i naczelny redaktor: MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

NOWY PREZYDENT MIASTA WARSZAWY.

